



ROK LVIII

NR 3

MISŁY GODNIOWE I ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 17 STYCZNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Równowaga budżetu rodzinnego i oszczędność. Czy chcemy „przejsć na brzeg inny, pełen słońca”—*Jotka*. Nowe metody i stare prawdy (c. d.)—*K. S.* Zapomniany szczegół ważnego zagadnienia—*Marja Jacuńska*. Artyzm Rogoszówny—*Zofja Szmydtowa*. Wiersze—*Wila Dmowska*. Odwieczna legenda—*Helena Sobańska*. Jak piorun... (c. d.)—*John Galsworthy*. Drogami du: zy (powieść) c. d.—*Helena Ceysingerówna*. Reforma gospodarstwa kobiecego (dok.)—*F. S.* Refleksje—*Dr. Z. G.* Strzałki. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet—*I. Fabrycowa*. Z teatrów—*H. C.* Z książek—1) *M. Dąbrowska*, 2) *H. W.* Pantofelki dziecinne. List z Paryża—*Sekwa*. Pani swej postaci—*D.* O reperacji—*J. S.* Korespondencje—*R.* Przepisy gospodarcze—*Pani Elżbieta*. Nadesłane do Redakcji. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy: 1) „Biały Paw”—powieść *Henry Bordeaux*—autoryzowany przekład *M. Domańskiej*, 2) „Czar Kwietniowy” tom II, (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu” (ciąg dalszy). Dodatek robót i ubiorów. TABLICA KROJÓW

RÓWNOWAGA BUDŻETU RODZINNEGO I OSZCZĘDNOŚĆ

Mimo bardzo szeroko rozpowszechnionych narzekań na kryzys gospodarczy, brak kredytu, drożyznę i t. d.—w naszym życiu gospodarczo-społecznym, daje się stwierdzić niejeden dodatni objaw, jeszcze rok, a nawet parę miesięcy temu niespotykany. Przewszystkiem znikł bodaj zupełnie tak powszechny i tak wielu imponujący typ, który żył „z obrotu pieniędzy” i wyzyskiwania bez skrupułów niezdrowych warunków inflacyjnych. Gdzie schowali się ci nowi magnaci, którzy zarabiali po paręset procent w ciągu kilku dni na zamówieniach i dostawach, dla których każdy wydatek był bez znaczenia. Majątki na takich podstawach oparte zaczęły się chwiać i padać, a dalej tylko, choć wolno, rozwijają się lub bodaj utrzymują ci, którzy potrafili obchodzić się bez „wyzyskiwania konjunktur”

i opierali byt swych warsztatów o normalny dochód i pracę.

Wiele jednak z psychologii inflacyjnej w nas (tych nie nowo-bogackich) dotąd zostało. Wiele narzekań na podatki, kryzys i t. d. pochodzi z powodu działania u nas inflacyjnych pierwiastków. Zwolna jednak pozbywamy się ich. Na ostatniej konferencji prasowej w Prezydium Rady Ministrów Premier

*) O wzroście ruchu oszczędnościowego świadczą następujące w ostatnich dniach opublikowane cyfry P. K. O.: 1 lipca b. r. było oszczędności w Pocztowej Kasie Oszczędności 2 milj. zł., w spółdzielniach kredytowych 148,000 zł., w 34 kasach oszczędności 548 tys. zł., w Galicyjskiej Kasie Oszczędności 140 tys. zł., czyli łącznie 2,876,000 zł.. W dniu 1 grudnia oszczędności wzrosły do sumy 9,028,000 zł. i tak w P. K. O. do 5,5 milj., w spółdzielniach kredytowych do 415,000, w 34 kasach oszczędności do 2 milionów, Gal. Kasie Oszczędn. do 613 tys. i w Lwowskiej Kasie Oszczędn. do 500 tys.

z zadowoleniem zakomunikowa wyjątki ostatnich sprawozdań oddziałów Banku Polskiego, donoszących między innymi, że poczynają się już wśród szerszych mas (Stanisławowa i Grodna) przejawiać ruch oszczędnościowy*). Oszczędności, jako następstwo przewidzianej gospodarki prywatnej [i zrównania z nadwyżkami budżetów jednostkowych — są dowodem, że zaczynamy dostosowywać się do wymagań praw, rządzących gospodarstwem społecznym.

Niestety, ten prąd nie objął jeszcze dostatecznych kręgów. Nie dawno temu p. J. Łużyc w b. trafnym artykule, zamieszczonym w № 335 z l. XII-24 r. „Kurjera Warszawskiego” p. t. „Aforyzm p. Grabskiego” podkreślił uwagę, zrobioną przez Premiera, że „zrównoważony budżet rodziny jest podstawą równowagi budżetu państwa”. P.

Łużyc b. słusznie twierdzi, że niedomagania inteligencji w dużej mierze pochodzą z powodu nieumiejętności rządzenia się groszem, niepreliminowania wydatków, niezakreślania ram budżetu, a tendencji do szybkiego pozbywania się grosza i zaspakajania pierwszej lepszej potrzeby, która się z brzegu nawinie. Jest to właśnie cecha inflacyjna, niezdołność do „stopniowania użyteczności przedmiotów“, brak „proporcji w głowie“.

Nawiązując do artykułu, jaki w „Bluszczu“ był zamieszczony w sprawie specjalnego typu oszczędności w okresie inflacyjnym, uważamy za swój obowiązek zwrócić się z uwagą: tamten okres już poza nami. Obecnie musimy wkroczyć w nową fazę normalnego gospodarzenia w rodzinie, powściągliwości w wydatkach, planu w zaspokojeniu potrzeb, podporządkowania mniejszych potrzeb większym, co wiąże się z oszczędnością.

Nad wszystkim dziś panować winna elementarna zasada ekonomji prywatnej: wydatki muszą być dostosowywane do dochodów.

Opanowaliśmy już chaos w gospodarce finansowej Państwa. Doprowadziliśmy do tego, że Rząd nie tylko ma zrównoważony budżet, ale może sobie pozwolić na odroczenie terminu płatności podatków z b. r. na 1925 r. w wysokości 265 milionów złotych i wprowadzić w gospodarstwo społeczne przez kredyt, za pośrednictwem banków państwowych, 63 miliony złotych.

Obecnie opanować musimy chaos w kalkulacji cen i organizacji naszej produkcji i pośrednictwa, uzyskać normalizację cen t. j. nie tylko ich proporcję na rynku wewnętrznym, ale i w stosunku do zagranicy. Opanować również musimy chaos w życiu prywatnym. Premier stwierdził, że zachodzi związek przyczynowy między budżetem państwowym, a rodzinnym, zachodzi również związek między normalizacją cen, a budżetem prywatnym.



Niema bowiem sposobu bardziej skutecznego oddziaływania na ceny, jak opanowanie zamętu w kołach konsumentów. Jeżeli konsument będzie się liczył z wydatkami, ograniczał je do niezbędnych, starał się wejść bliżej w sposób kalkulacji i kwalifikacji towaru i cen, co jest możliwym tylko wtedy, gdy będzie szanował pieniądze — wytworzy presję moralną i finansową na te koła gospodarcze, które jeszcze toną w atmosferze inflacyjnej. Przypuszczać należy, że istniejące przy sekretarjacie Ekonomicznym Rady Ministrów Biuro badania cen, pomoże do tej przemiany w psychologii konsumentów i do zorganizowania ich opinii.

Stawiając sobie za cel równowagę budżetu rodzinnego i świadomą akcję oszczędnościową — kobiety polskie, na których w większości wypadków spoczywa troska o budżet rodzinny, odegrają poważną rolę w procesie naprawy naszych stosunków gospodarczo - finansowych. Będzie to prawdziwie wielka rzecz. Z tą myślą wystąpić należy w 1925 r.

CZY CHCEMY „PRZEJŚĆ NA BRZEG INNY, PEŁEN SŁOŃCA“?

POLSKA KONFEDERACJA PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH.

Do nieprawdopodobieństw zaliczane u nas zjednoczenie się inteligencji pracującej stało się niedawno faktem dokonanym. Powstała Polska Konfederacja Pracowników Umysłowych. Przystąpiło do niej narazie 78 towarzystw inteligentnych, głównie z Warszawy, Krakowa, Lwowa, z byłej Kongresówki z Małopolski. Akcja organizacyjna obejmuje już tereny Wileńszczyzny Wielkopolski i Pomorza.

Niechęć sfer inteligentnych do łączenia się, zamiłowanie do chodzenia luzem, zwane szumnie „indywidualnością“ — a, w gruncie rzeczy lekkomyślność, nieopatr-

ność i niedołęstwo życiowe załamały się dziś pod naporem sytuacji ekonomicznej. Walka o byt codzienny, o wartości kulturalne przechodzi już siły i możliwość pojedynczego człowieka, konieczność zorganizowania się stała się naczynem nieodwołalnym i nagłym.

Inicjatywa kielkowała od lat kilku równolegle w różnych centrach i zrzeszeniach inteligentnych Polski! W Warszawie starała się skupić pracowników umysłowych „Rada Inteligencji Pracującej“ i spadkobierca jej „Związek Inteligencji Pracującej“.

Zrzeszenie to nawiązało czucie z pracami na terenie europejskim, a głównie z Francją, gdzie w roku

1920 powstała pierwsza konfederacja pracowników umysłowych (Confédération des Travailleurs Intellectuels C. J. T.) Za tym przykładem poszły organizacje inteligentkie: Anglii, Austrii, Belgji, Bułgarji, Finlandji, Szwajcarji, które wysłały swych przedstawicieli na I-szy Międzynarodowy Kongres Pracowników Umysłowych, w Paryżu, w kwietniu 1923 roku. Inne kraje w liczbie 12-tu przysłały na kongres swych nieoficjalnych „obserwatorów“. Polskimi sprawozdawcami byli zamieszkali wówczas w Paryżu pp.: Z. Zaleski, Dr. Edw. Woroniecki i p. Marjan Zaniewicz.

Drugi kongres, również w Paryżu w grudniu tegoż roku 1923 zgro-

madził już liczniejsze przedstawicielstwo międzynarodowe. Do konfederacji przystąpiła inteligencja Czechosłowacji, Rumunji, Jugosławji. Prace kongresu śledzili przedstawiciele Polski pp. dr. Woroniecki i radca Doleżał.

Międzynarodowa Konfederacja Pracowników Umysłowych (Confédération Internationale des Travailleurs Intellectuels C. I. T. I.) jaka ukonstytuowała się już na pierwszym kongresie, współpracuje przez swego przedstawiciela w Lidze Narodów w zakresie spraw zawodowych pracowników umysłowych, a szczególnie czynna była przy tworzeniu Międzynarodowego Instytutu Współpracy Umysłowej. Konfederacja jest również w kontakcie z Międzynarodowym Biurem Pracy w Genewie.

Celem konfederacji jest obrona praw materialnych i kulturalnych pracowników umysłowych. W myśl zarządzeń międzynarodowych wstęp do konfederacji musi być otwarty dla wszystkich inteligentkich organizacji.

O ideologii konfederacji świadczą wytyczne, jakie zakreśliła so-

bie konfederacja francuska: „Żyjąc w okresie walki między kapitałem a pracą fizyczną chcemy wprowadzić przez nasz wysiłek stan pokoju. Jako skupienie ludzi najwyższej kultury wokół tej światłej idei, chcemy przenieść stare, walczące, zawistne społeczeństwo na brzeg inny pełen słońca, na nowy kontynent społeczny“.

Że nie jest to marzycielstwo społeczne, dowiodły już z błyskawiczną szybkością rosnące wpływy konfederacji na bieg najdonioślejszych spraw publicznych we Francji.

Rząd i czynniki miarodajne odwołują się do opinii konfederacji lub idą za jej wskazówkami.

Konfederacja interwenjowała skutecznie w sprawie inflacji, grożącej Francji w 1921 r.; wypracowała projekt ubezpieczeń społecznych,



przyjęty za podstawę rządowego projektu ustawy; przeprowadziła swe postulaty w sprawie programu szkoły średniej i uzgodnienia różnych stopni szkolnictwa, opracowała projekt prawa autorskiego itp. Kolosalnym zwrotem było zorganizowanie w Izbie posłów i w Senacie grup parlamentarnych dla obrony pracowników umysłowych.

Należy do nich 133 posłów i 90 senatorów z różnych partji politycznych.

Przedwczesne byłoby dziś otrębywanie zdobyczy, jakie możliwe są dla zrzeszonej inteligencji polskiej. Będą one zależały od tego, jak mądrze wykorzystana zostanie owa pojemność konfederacji, łączącej pracowników umysłowych poza wszelką ideą partyjniczą; od tego, ile energii, żywotności i pracowitości wykaże organizacja, a solidarności jej członkowie.

W każdym razie możliwości wpływu na życie publiczne, na kulturę i przyszłość narodu, na jego rolę międzynarodową są wprost nieobliczalne. Stoimy między dniem a nocą...

Jotka.

NOWE METODY I STARE PRAWDY

II.

Pisałam już kiedyś o tem, że pod wielu względami natura ludzka wykazuje wielką skłonność do ekstremów. Jest to objaw bardzo znamieny, choć dotychczas za mało doceniany. Kto wie, czy bliższe poznanie tego właśnie rysu psychiki ludzkiej nie rzuciłoby nowego światła na wiele zjawisk psychologicznych, historycznych, socjalnych, a w konsekwencji, czy nie wywarłoby pewnego wpływu na metody wychowania. Z filozoficznego punktu widzenia możnaby powiedzieć, że może na tem właśnie polega nasza niedoskonałość ludzka, że wpadając z jednego ekstremu w drugi, nigdy nie osiągniemy „złotego środka“. Ale to jest metafizyka. W ży-

ciu czynnem, praktycznem, nie wolno nam z tych ideałów rezygnować. A może celem naszych dążeń jest zmniejszanie tych oscylacyj; w jedną i drugą stronę, aż do minimum — może na tem właśnie polega nasze ciągle, asymptotyczne zbliżanie się do ideału.

Ten bieg myśli nasuwa mi się zawsze, ilekroć spojrzeniem szerszem patrzę na dzieła pracy i myśli ludzkiej. Ten rys odnajduję także i dziś, przy rozważaniu dalszych cech charakterystycznych nowego systemu szkolnego.

Mam tu na myśli przedewszystkiem ów skrajny przeskok, jaki się dokonał w ostatnich czasach od typu szkoły o charakterze wyłącz- nie klasycznym, do typu prawie wy-

łącznie matematyczno - przyrodniczego. Nie da się zaprzeczyć, że wadą poprzedniego systemu szkolnego była owa „przewaga kierunku krasomówczego“, jak się wyraża Stan. Szczepanowski, ta pewna skrajność w kształceniu tylko myśli oderwanej i formy jej zewnętrznej — słowa, przy dość dużem lekceważeniu rozwoju zmysłów, spostrzegawczości, sprawności w samodziel- nem poznaniu przyrody.

Z drugiej strony znowu trzeba przyznać, że z zadania tak pojętego typ szkoły klasycznej wywiązywał się znakomicie, że doprowadzał do wysokiego poziomu nie tylko rozwój umysłu, ale wszystko to, co nosi ogólną nazwę: kultura. Jest to cecha tak znamienna, że z łatwością

poznać można wychowanków takiej szkoły: po sposobie myślenia, wyrażania się, a nawet po pewnych właściwościach charakteru.

Absolwentom klasycznego gimnazjum brakowało tylko więcej wykształcenia praktycznego, przyrodniczego, technicznego, większej sprawności fizycznej i, co za tem idzie, większego rozmachu życiowego. I oto, zamiast wyrównać te braki i scharmonizować wpływ obu tych pierwiastków, przerzucono się w drugą skrajność, rugując z wielką szkodą wpływ kultury klasycznej na wychowanie młodzieży. W całej Europie stał się modny od kilkudziesięciu lat typ szkoły matematyczno-przyrodniczej, ale równocześnie trwa ciągle dyskusja między przeciwnikami i zwolennikami kierunku klasycznego. Podczas gdy do niedawna jeszcze ilość tych ostatnich była bardzo mała w porównaniu z pierwszymi — dziś ten stosunek z dnia na dzień się zmienia.

Jest rzeczą wielce ciekawą, a zarazem charakterystyczną, że kiedy prezydent ministrów francuskiej, Poincaré, zasięgał opinii najwybitniejszych pedagogów i uczonych francuskich w sprawie szkolnictwa średniego, to przytłaczająca większość i, co najważniejsze, w pierwszym rządzie matematycy i przyrodnicy właściwie, wypowiedzieli się za wprowadzeniem nawo do gimnazjów, łaciny, a nawet greki.

W dyskusji podkreślono tam, między innymi, z naciskiem wielkie zna-

czenie dyscypliny moralnej, jaką specjalnie studjum tych dwóch języków ze sobą niesie. Ta wysoka wartość wychowawcza i moralna czyni dziś potrzebę wpływu świata starożytnego na wychowanie młodzieży aktualniejszą, niż kiedykolwiek. Upadek moralności, zanik uczuć humanitarnych i wyższych aspiracji, a przede wszystkim ogromne zmaterializowanie, które w zdobyciach technicznych chce upatrywać szczyt naszych marzeń i ideałów — zmusza daleko patrzących pedagogów do głębokiego namysłu.

Przy całym uwielbieniu, jakie mieć można dla nauk matematyczno-przyrodniczych, trzeba bezstronnie przyznać, że, jako wyłączny system wychowawczy okazać się musi czemś niezupełnym, równie jednostronnym, jak kierunek klasyczny bez współdziałania nauk matematycznych i przyrodniczych.

To też i u nas przed niedawnym czasem wypowiedziała się większość pedagogów i uczonych, na zjeździe, odbytym w Warszawie, stanowczo za utworzeniem większej ilości gimnazjów klasycznych, a z drugiej strony za wprowadzeniem do gimnazjów matematycznych przynajmniej łaciny. Jest więc wszelka nadzieja, że tak pożądana reforma z czasem nastąpi i da nam typ szkoły ogólnokształcącej naprawdę wszechstronnej.

I jeszcze jedna cecha nowych metod szkolnych, jeszcze jedna tendencja, w zasadzie słuszna, ale w praktyce niezbyt błogosławiona. Rozwój indywidualności i samo-

dzielności należy bez kwestji do najważniejszych, ale też i najtrudniejszych zadań nauki i wychowania. Rozwój indywidualności wymaga atmosfery wolności i swobody. Ale niema rzeczy bardziej trudnej niż utrzymanie granicy między swobodą, a bezkarnością, między samodzielnością a samowolą. To też mam wrażenie, że i tu nastąpił bardzo silny przeskok z jednej skrajności w drugą: z dawnego systemu ostrego rygoru i autorytetu do zbyt daleko posuniętej swobody i pobłażliwości. Brak szacunku dla nauczycieli, brak posłuszeństwa i poczucia odpowiedzialności wobec nich, a co za tem idzie, brak karności wogóle — nie są tylko objawami czysto wojennymi. Już przed wojną stawało się widocznym, że z tą stroną nowego kierunku pedagogicznego niełatwo będzie sobie poradzić, że bardzo wytrawnych trzeba będzie nauczycieli, a przede wszystkim bardzo starannie dobranych zespołów młodzieży, aby móc zastosować te właśnie zasady wychowania.

Wielkiej trzeba siły charakteru i autorytetu, wielkiego doświadczenia i talentu pedagogicznego, wielkiego wreszcie taktu i — ukochania młodzieży, aby, nie narzucając swojej woli, jednak być przewodnikiem, nie rozkazującym, jednak kierować młodzieżą. W przeciwnym bowiem razie ma się taki rezultat, że nowe metody zbytnej swobody wydają o wiele słabsze indywidualności, niż dawne zasady bezwzględnego rygoru.

K. S.

ZAPOMNIANY SZCZEGÓŁ WAŻNEGO ZAGADNIENIA

W dalszym ciągu dyskusji toczącej się na łamach „Bluszczu” nad pracą zawodową kobiet — przytaczamy głos jednej z naszych czytelniczek.

Gdyby jakiś marsjanin lub selenita przeczytał szereg artykułów, drukowanych w różnych pismach obecnie z racji „epokowego przełomu w życiu kobiet”, doszedłby niewątpliwie do następującego wniosku:

Mieszkańcy ziemi dzielą się na gromady zwane rodzinami. Głową rodziny jest matka, która daje życie dzieciom, troszczy się o nie, wychowuje oraz rządzi domem. Owa matka, wskutek coraz wyższego rozwoju intelektualnego, pragnie pracować umysłowo, twórczo we wszystkich kierunkach. Sprawy komplikują ją d y n i e słabe istoty-dzieci, dla których trzeba stworzyć

„ersatz” opieki macierzyńskiej. Do tego jednak, aby mechanizm domowy należycie funkcjonował niezbędną jest jeszcze dziwna maszyna, wyrabiająca pieniądze na potrzeby domowe — mąż. O ile wynioskować można z powyższych artykułów, maszyna owa nie ma żadnego innego zastosowania w życiu domowym. Wskutek niesprzyjających, powojennych warunków,

maszyna-mąż funkcjonuje gorzej i dostarcza mniej pieniędzy i to jest drugim powodem, który zmusza kobiety do pracy pozadomowej.

* * *

Pomińmy kwestję żartobliwej formy: — czy rozumowanie to nie jest logiczne?

I dlaczego my, kobiety nowoczesne, powojenne, nie mamy odwagi przyznać się, że pierwszą i najgłówniejszą rolę w naszym życiu odgrywa właśnie ten zapomniany, czy przez fałszywy wstyd przemilczany — mąż.

Nie ów potwór męzczyzna, na którego z pogardą spoglądały feministki w sztywnych kołnierzykach, nie „pan i władca”, którego rozkazy pokornie spełniały nasze prababki, ale ten równie, jak my nowoczesny i współczesny — mąż przyjaciel, mąż odpowiednik duchowy, mąż—kochanek.

Rozumiem, że niegdyś, kiedy młodzieńką dziewczynę wydawano za mąż w sposób, odpowiadający życzeniom, czy interesom rodziny, ale bez względu na jej osobiste pragnienia — w życiu takiej kobiety mąż nie odgrywał żadnej roli i poza nieprzekroczeniem żadnego z punktów kościelnej przysięgi, nie była ona więcej do niczego zobowiązana.

Dzisiaj rzecz się ma inaczej.

Jesteśmy właściwie pierwszym pokoleniem kobiet, które same sobie wybierały mężów i z tego wypływają następujące konsekwencje:

1) kobieta we współczesnym małżeństwie może być tylko albo bardzo szczęśliwa, albo bardzo nieszczęśliwa.

2) większe prawa pociągają za sobą większe obowiązki i kobieta,

która sama sobie wybrała męża jest bezwarunkowo odpowiedzialna za jego szczęście.

Nowoczesne małżeństwo (nie biorę pod uwagę jednostek specjalnie ujemnych) może mieć dwojaki charakter, albo:

1) pobiera się dwoje ludzi z miłości (w całym tego słowa znaczeniu) dlatego, że każde widzi w tem swoje szczęście, z samej zaś istoty uczucia wynika, że każde pragnie przede wszystkim maximum szczęścia dla drugiej strony, albo.

2) jest to dwoje ludzi, których usposobienia nie są zdolne do specjalnie wybuchowych uczuć, ale mają dla siebie bardzo dużo serdecznej przyjaźni i—zaufania. I wtedy każde stawia sobie jako pierwszy obowiązek — dać szczęście temu drugiemu.

Co w pierwszym wypadku wypływa z instynktu, z tego egoizmu drugiego stopnia, w drugim będzie wyrozumowane, ale dla obydwu jest najważniejszym zagadnieniem całego życia.

I dopiero na drugim planie można postawić kwestję dzieci.

Bo nie dzieci są najgłębszą treścią całego życia kobiety, tylko mąż.

Nawet w najszczęśliwszej rodzinie, gdzie panuje doskonała harmonia,—zupełne zrozumienie i odczucie może istnieć tylko między mężem i żoną. Między matką i dziećmi stanie zawsze nieprzebyta zaporą: różnica całego pokolenia. Mogą się bardzo głęboko kochać, ta miłość może łagodzić różnicę, mogą nawzajem szanować i uznawać jej przyczyny i uwzględniać je, ale to nie zmienia faktu, że różnica istnieje. Ale przecież to zupełnie co innego identyczne

uczucie, a najserdeczniejsza nawet—tolerancja.

Bo dziecko to ukochanie i duma matki, dowód cudownego daru danego jej przez Opatrzność: możliwość stworzenia człowieka; pozatem uczucie stwórcy dla dzieła, ucieleśnienie poczucia ciągłości życia, nieśmiertelności. Ale zresztą to najukochańsi, najbliżsi ludzie, którzy żyją obok matki, a tylko, jedynie mąż i żona żyją razem, wspólnymi odczuciami, przeżyciami i przyzwyczajeniami.

To też kobiecie nieszczęśliwej w małżeństwie—macierzyństwo nie może dać zadośćuczynienia. Przede wszystkim wykluczona jest możliwość, żeby kobieta mogła kochać taką najwyższą macierzyńską miłością dzieckoniekochanego człowieka. Pozatem traci ona cały świat szczęścia i radości, który przeżywa matka, odnajdując w różowej, okrągłej twarzączce spojrzenie, rysy Ukochanego, a później w zabawach dziecięcych Jego upodobania, cechy charakteru. Zresztą mimo dzieci, nawet bardzo kochających dzieci, będzie się zawsze czuła opuszczoną i samotną

Nie piszę tego wszystkiego bynajmniej dla tego, by dowieść, jak ważną sprawą jest wybór męża — na to chyba nie potrzeba tylu argumentów! Chodzi mi tylko o stwierdzenie faktu, że mąż to:

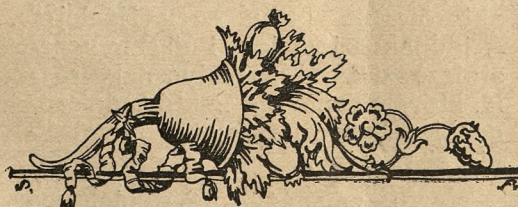
1) najistotniejsza treść naszego życia,

2) największa komplikacja wobec konieczności przeorganizowania tego życia.

I dlatego dałam tym uwagom ironiczny tytuł „Zapomniany szczegół ważnego zagadnienia”.

d. c. n.

Marja Jacuńska



ARTYZM ROGOSZÓWNY

Rogoszówna zdobyła sobie poczytność i uznanie jako utalentowana autorka i zdolna tłumaczka. Pisząc i wydając, miała zawsze na myśli dziecko. Stąd przekłady: „Zazulki“ Anatola France'a, „Piotrusia Pana“, J. M. Barrie, przeróbki z Thackeray'a: „Pierścień i Róża“, stąd planowane pismo dla dzieci i szczęśliwy pomysł wyzyskania twórczości bezimiennej w zbiorce: „Srocza kaszkę warzyła“, 1920. Są to przysłowia, gadki i anegdota ludowe. Książka przynosi młodocianym czytelnikom nie tylko fabułę, ujętą w słowo rytmiczne, ale i kształt i barwę i wreszcie melodię. Ilustracje Stryjeńskiej, utrzymane w stylu prymitywów i tekst muzyczny Świerzyńskiego tworzą całość zgodną, działającą różnostronnie na wyobraźnię.

O wewnętrzny wygląd swych książek Rogoszówna dbała zawsze. Stryjeńskiej powierzyła zdobienie zbiorca wierszyków: „W słoneczku“, 1918. „Piotruś Pan“ pojawił się z ilustracjami Artura Rackhama.

Świat dziecięcy był niemal wyłącznym tematem twórczości Rogoszówny. Stworzyła ona tylko jeden wiersz treści osobistej. Poza tem pisała o dzieciach i dla dzieci. Można przeznaczyć swe pisma dla najmłodszych czytelników, nie biorąc za przedmiot artystycznego ujęcia życia ich rówieśników. Jest jeszcze rozległy świat przyrody i niewyczerpana kraina fantazji jako temat dla pisarza.

Rogoszówna inną miała drogę. Ona studjowała przedewszystkiem odrębny byt dziecka, widząc w niem urodę rozwijającego się życia, podlegając urokowi jego naiwności i bez troski.

Autorka „Piskląt“ nie narzuca dzieciom gotowych formułek, nie idzie do nich z morałem. Ona z nieśmiałością i pokorą wchodzi do ich gromadki, by się nauczyć ich życia, by osiąść ich tajemnice. Bada, obserwuje. Z obserwacji tych wynosi nastrój radosny, zalewający, jak światło słoneczne, wszystkie stworzone przez nią obrazy.

Dziecko Rogoszówny jest zasadniczo dobre, o porywach szlachetnych, często bohaterskich; jest szczęśliwe, zadowolone; istnieniem swem sprawia radość otoczeniu.

Stanie się kiedyś zacnym, dzielnym, czy nawet genialnym człowiekiem.

Taki świat tworzy autorka: krzewi się w nim i zwycięża dobro. Zgrzytów rozpaczy tu niema.

Jako artystka nie idzie Rogoszówna w kierunku uogólnień abstrakcyjnych, nie filozofuje. Postępuje raczej jak przyrodnik. Liczy się z faktami, opisuje zjawiska z dokładnością i precyzją uczonego, daje przytem ich żywą sugestię, jak malarz czy plastyk. Do studjum p. t. „Haluśka“ pisze 60 szkiców! Podkład rzetelnej, wszechstronnej obserwacji leży u podstawy wszystkich jej utworów. Nie mamy tu do czynienia z typem dziecka, raczej z indywidualnością dziecięcą. Rogoszówna przeprowadza głębokie i gruntowne dochodzenia. Nie waha się odtworzyć zawilgości psychicznych dziecka wyjątkowego („Haluśka“). Wyróżnia sferę, w której się dziecko rozwija (lud, warstwa rzemieślnicza, inteligencja wiejska, ziemiaństwo), znakomicie radzi sobie z wiekiem. Pod tym względem okazuje takt i rozwagę niezwykłą. Tworzy pyszny portret, raczej szereg portretów danej postaci. Oddaje trafnie ruchy i odruchy niemowlęcia, do cieka, związku między jego myślą, czy uczuciem, a ich zewnętrznym wyrazem. Wchodzi w marzenia senne maleństwa, motywując przekonywująco o ich istnieniu. Z wesołością i z zachwytem oddaje swoistą mimikę niemowląt. I dzieci nieco starsze wprowadza na scenę w całej prawdzie ich ruchów i gestów. Rozróżnia przytem wymowę dziecięcą. Buduje znakomite dialogi. Operując nadto mową nieartykułowaną, radzi sobie Rogoszówna i z głosami zwierząt, naśladowując je trafnie („Dwie Kurki“).

Wobec tylu dowodów liczenia się autorki z rzeczywistością zdawałoby się mogło, że artyzm jej kształtować powinien jedynie sfery życia realnego. A jednak Rogoszówna opanowała także krainę fantazji. Sprzegła dwa kłójące się z sobą światy w sposób harmonijny i logiczny. Czyż maister Tydzień („Dzieci Pana Majstra“ 1920) nie przypomina swoją trywialnością aktorów ze „Snu nocy letniej“? A jednak dzieci jego i on sam uczestniczą w akcji fantastycznej Wróżki, która niczem nie zakłóca dalszego biegu prac i rozrywek rzemieślniczej rodziny.

Warto zauważyć, że niełatwą rzeczą jest wpleść wątek fantastyczny w akcję życia realnego. Pisarze bez talentu dochodzą do

absurdów moralnych czy logicznych przy tej operacji. Odejmują wolę, inicjatywę swoich bohaterów, czynią z nich manekiny. Interwencja nadnaturalna zabija poprostu prawdę psychologiczną, możliwości i konsekwencje czynów ludzkich.

Rogoszówna nie zaprzecza żadnemu ze swoich założeń, gdy rozrukane dzieci majstra Tygodnia wprowadza do sadu Wróżki. Zachowują się one jak zawsze, zasługują na karę. Wróżka daje im kształt świeczek. Gdy wróci im dawną postać, zostaną skórki prosiące w skrzyni Majstrowej—Pałac i sad Wróżki ukazują się w świetle fantastycznym. Ona sama jest lekka, powiewna, oddana smutkowi i tęsknocie. Tęskni za wdziękiem i cnotą dziecięcą. I to właśnie łączy ją ze światem ludzkim.—Widzimy świat baśni jakby z oddali, a równocześnie przenika go ten sam humor, który otacza dom Pana Majstra i gości w gromadce jego dzieci. Pozostaje jedność ideowa przez związek nakazów Wróżki z sumieniem dzieci i jedność nastroju dzięki humorowi, który spleta oba kręgi akcji.

Wiersz 8-mio zgłoskowy, najczęściej ujęty w zwrotki 4-ro wierszowe, niekiedy w dwuwiersze, doskonale odpowiada nastrojowi opowieści. Rymy niewyszukane, ale nie banalne, nieraz stają się źródłem efektów komicznych — Efekty komiczne wywołują też zwrotki, oparte na jednym rymie w innym wierszu („Dwie Kurki“).

Technika powieści i studjów Rogoszówny jest rozmaita. „Dziecinny Dwór“ przeznaczyła autorka przedewszystkiem dla dzieci. Przewaga fabuły nad analizą psychologiczną z intencją autorki się zgadza. Można mieć jednakże pewne wątpliwości, czy dla dzieci w wieku przedszkolnym, a nawet i starszych dostępne będą takie np. uogólnienia: „ten sam rząd austriacki, który niemieckich kolonistów z Nadrenji otacza najczulszą opieką, rozmyślnie trzyma chłopca galicyjskiego w ciemnocie i nęczy, oddając go na pastwę żydów — lichwiarzy i niesumiennych agitatorów“. Słowa te są zbędnym dodatkiem, który obciąża jedynie obraz, mówiący to samo.

Dzieci w nieobecności matki podlegają straszliwemu przeciążeniu pracą Francuzka poddaje po prostu torturom umysłowym i moralnym swoich wychowanków. Ojciec reaguje na to zbyt słabo. Autorka widzi w tem tylko wynik da-

wnej, wadliwej metody uczenia. Nie spostrzega się, że chcąc ową metodę potępić, przejawiała jej objawy. Nauczycielka jest osobą nienormalną, histeryczką, bezwiednie coprawda szkodliwą, ale szkodliwą.

Dzieci dowiodły głębokiej dobroci serca, a przede wszystkim cierpliwości i wytrzymałości bezgranicznej, że zachowały dla niej serdeczne wspomnienie. Rodzice nie powiedzieli jej także prawdy. Ojciec poprzestał na kilku uwagach, które zostały bez skutku, a matka obdarowała ją hojnie i wyraziła wdzięczność za dobre intencje... Pożegnana szczeremi łzami bezmiernie dobrych dzieci jedzie dalej ścieżką spustoszenia w bujnym młodym życiu.

Oburzamy się też na Prawdzica—choć autorka nie ma do niego żadnych pretensyj— że pozwala swym dzieciom pobierać lekcje o czystego języka od głupiego bakałarza Niemca, który ledwie rozumie po polsku. „Co sze robi z kwasną mliką?“... brzmi jedno ze zdań osobliwego dyktanda.—Jest to eksperyment pedagogiczny, który powinien obciążyć sumienie rozsądnego człowieka i normalnego Polaka. A nie obciąża sumienia Prawdzica.

Przykłady te świadczą, że oba epizody powieściowe nie stopiły się w całość organiczną z właściwym i głównym tematem książki, którym są przejścia duchowe i przygody dzieci. Na tych brakach kompozycyjnych dzieci nic nie straciły, co więcej dzięki nim

właśnie mogły przejawić niezwykłą delikatność uczuć i karność wobec władzy, poprostu zdumiewającą. Rogoszówna nie postawiła wyraźnego konfliktu, ale ten brak nie zniszczył jej głównego zamierzenia.

W późniejszych pracach autorki konstrukcja staje się coraz doskonalsza. „Dzieci Pana Majstra“ stanowią całość spójną dzięki jedności ideowej, jednolitości nastroju i konsekwencji w charakterystyce postaci. Tylko sylwetki Majstra i Majstrowej potraktowane jowialnie, przeznaczone są nie dla dzieci i nie wyszły z obserwacji dziecięcej.

Niezmiernie ciekawą strukturę ma studjum psychologiczne p. t. „Haluśka“. Zdumiewa w niem ekonomja artystyczna, stały punkt obserwacji. Wszystko oglądamy oczyma małej Haluśki. Rzeczywistość załamuje się w jej umyśle i serduszku. Domyślać się nieraz musimy faktów. Tak osobliwie przetwarza je nieraz wyobraźnia dziecięca.

Dla ludzi dorosłych, znających naturę dziecka, jest to lektura miła i zaciekawiająca. Dzieci tej książki nie rozumieją. Wiele rzeczy przejdzie bez wrażenia, inne pozostaną w kształcie zagadki.

„Haluśka“ zainteresuje psychologa i wychowawcę. Analiza, którą autorka tak oryginalnie przeprowadza, nie może obchodzić ani rówieśników Haluśki ani starszej młodzieży. Chyba wyjątkowo.

Inne opowiadania z tegoż zbioru: „Pisklęta“ o małym chłopaczku, Jędrusiu przez swą interesującą i żywą fabułę przemawia zarówno do dorosłych jak i do dzieci. Choć więcej korzyści wyniosą z tej lektury dorośli.

Niepodobna w krótkim szkicu zamknąć wszystkich rysów artyzmu Rogoszówny. Na ocenę porównawczą i wszechstronną jeszcze nie pora—Więc kilka słów uogólnienia..

Talent o wyraźnym kierunku, oparty na świadomej pracy badawczego umysłu, na odczuciu przejawów życia dziecięcego rozwija się z biegiem lat, zarówno pod względem bogactwa tematów i środków stylistycznych.

Wszystkie pisma Rogoszówny wysuwają dzieci, myślące i mówiące swobodnie, za siebie. Ale jedne tak przedstawiają te dzieci, jak widzą dorośli, którzy umieją stawiać zagadnienia psychologiczne; inne przynoszą nadto interesujące wątki opowieści.

Trwałe podstawy, leżące w umyśle i sercu autorki nadają jej utworom wartość nieprzemijającą. Zagradzają drogę tandecie literackiej przez rygor niemal naukowy i świadomy swych dróg artyzm.

Talent w rozwoju zatrzymała śmierć przedwczesna. Zostały pisma, zostały drogowskazy i zobowiązania dla tych, co zechcą po Rogoszównie podjąć tematy z życia dzieci.

Zofja Szymdtowa

DO POEZJI

I.

Nieśmiertelna! piękniejsza nad stulistne róże —
Ponad pyszne, królewskie diamenty dostojna —
Gorętsza nad płomienie — nad wino upojna —
Żywa — chociażby w żywym wykuta marmurze...

Niegodnej rzeszy chyli swe bezcenne kruże
Doskonałego piękna rozdawczyni bojna —
Zniewala dusze ludzkie, boskim czarem zbrojna,
Władna pokonać innych namiętności burze..

Beatrycze — co w natchnień prowadzi zenity —
Łeta — tocząca bólem zapomnienia wody —
Bogini, co śmiertelnych zaprasza na gody

I rzeczywistość stroi w szkarłat i błękity...
Poezja — ta kochanka z usty płomiennymi —
Błogosławiona Psyche — szarej naszej ziemi...

II.

Nie tak smakuje miodu słodycz bursztynowa
I wszystkie ziemskie, słońcem wypieszczone piony —
Jak sonety, triolety, lub strofy Safony,
Których — nad wszystkie inne — słodką jest wymowa...

Nie tak wspaniale biją kute w spiżu dzwony —
Jak z duszy — wichrem natchnień wydobyte słowa —
I nie tak pachnie cała wiosienność majowa,
Jak jeden płatek róży, przez poetę śniony...

Czemże są wszystkie kształty, barwy i rumieńce
W szponach surowej, życia częściej rzeczywistości?
Czem są z kwiatów lub laurów uplecione wieńce?

I czemże jest w istocie nago treść miłości?
Ty jedna — natchnieniem, wdziękiem i finezją
Czynisz z szarzyzny życia — cud życia — Poezjo! —

J E S I E Ń

Położę dłoń na serce... i cicho... cicho stłumię...
krwawiący głos tęsknoty w jesiennych liściach szumie...

Położę dłoń na oczy... łzy wcisnę pod powieki...
żółtawo pod chmurami, daleki jęk... daleki...

Ścieżkami parku pójdę, gdzie krwawe więdną róże...
ostatnie błędne pragnienie — w snów tęczach i purpurze...

Ścieżkami od mgieł mokremi — ostatnich róż płyną wonie...
ostatniej, cichej nadziei — obronię serce... obronię...

WILA DMOWSKA

ODWIECZNA LEGENDA

Bezłomny pielgrzym usiadł przy drodze, którą szli tłumnie ludzie i powtarzał, prosząc: pomóżcie mi, jestem głodny i nie mam dachu nad głową.

Ale w szmerze kroków licznych ginęło słabe wołanie i głos proszącego nie wzruszył serca niczyjego.

Mijali przechodnie, lecz każdy jeno spojrzeniem darzył bezdomnego pielgrzyma, spiesząc do dziennych spraw, do swych radości małych, lub do wielkich trosk.

Tak nadeszła noc, a z nią wicher surowy, i nędzary, źle odziany drzeć z chłodu począł.

Aż wiatr ulitował się nad starcem i rzekł:

— Jeśli ci zimno — rozgrzej się, wszak masz kamienie u swoich stóp.

Pielgrzym zaś podniósł głowę i powiedział cicho:

— Szydzisz wicherze. Widziałem oto wiele serc ludzkich i żadne nie dało mi ciepła, azali więc żądać mogę od kamieni?

Wicher zamilkł i pospieszył dalej, albowiem przemierzyć musiał tej nocy ziemię całą na nowo. A nędzary pozostał sam.

Wówczas noc pochyliła nad starcem bolesną zadumą przyćmioną

oblicze i spojrzała nań litościwemi oczyma, ale spojrzenie to nie rozgrzało zziębniętego.

I znów pielgrzym usłyszał głos, to mówiła ziemia, której mądrość ogarnia tajnie wszelkiego bytu.

— Przecz nie rozgrzejesz się, starcze, tyle ognia tu leży. Jeno sięgnij dłonią.

— Ognia — zdziwił się starzec? Widzę same kamienie, zimne i bez czucia, jak ludzkie serca. Obym się stał się już martwy, jak one.

— Martwe — szepnęła ziemia. Jakże mały jest umysł człowieczy. Azali nie wiesz, że drzemie w nich iskra żywa, cząstka ognia wielkiego, który w sercu moim wiekuiście płonie, a zaś obudzić ją zdoła... Lecz zamilkła, gdyż tajemniczy słowo nie mogło być wymówione.

Usnął sterzec, a gdy się obudził o świcie, ujrzał niebo chmurami zasnutę i ostatnia nadzieja rozgrzania się w słońcu — zgasła.

Więc siedział skostniały, w martwocie swej do głazu podobny i nie prosił już o nic, myślał bowiem, że serca ludzkie istotnie są, jak kamienie. Wtem nadbiegło dziecko. Bawiąc się, wzięło dwa kamyeczki i uderzać niemi poczęło, aż posypały się iskry.

Wówczas przypomniał starzec sen — li, czy jawę — nocną rozmowę z ziemi i uzbierawszy gałązek, rozpałił je iskrą, wykrzesaną z kamienia. I wnet jasny rozgorzał stos, ofiara ziemi, dar ognia, którym jej serce wiekuiście płonie.

Rozgrzał się starzec. I niejeden przechodzień zatrzymał się ogniem zwabiony, a odpocząwszy dalej szedł, zostawiając w podzięce kęs chleba lub chociaż tylko dobre słowo.

I zrozumiał pielgrzym, że zanim żądać będziemy mieli prawo — obdarzać musimy w pierw sami.

I zrozumiał jeszcze — iż niemasz tak biednego na świecie, któryby się już podzielić nie miał niczem.

Więc pozostał starzec przy drodze i pilnie strzegł ogniska, rozpalonego iskrą, dobytą z kamienia.

A ludzie szli i dziwili się wiecznie płonącemu ogniewi, przy którym niejedno zakrzepłe rozgrzało się serce.

Zaś gdy umarł pielgrzym, stosu strzegący, wzniesiono w miejscu owem świątynię, nazwaną przybytkiem ognia żywego, gdzie na ołtarzu w kształcie serca z kamienia wyciosanego — wiecznie płonął ogień.

Helena Sobańska.

JOHN GALSWORTHY

JAK PIORUN...

2)

(STROKE OF LIGHTNING)

„Oho!“ pomyślałem sobie, „a to co?“ W tej samej chwili wyszła Helena Radolin. Przeszła spokojnie koło niego, — nie starał się przemówić, ani pójść za nią, ale ona widziała, — a potem znikła w swoim namiocie. Weymouth stał jak wryty, jak piorunem rażony, — z namiotu zaś dochodził wciąż brzęk tej gitary i wkoło nas szumiały liście palmowe.

Jest, zdaje się, rzeczą zupełnie przyjętą w czasach dzisiejszych śmiać się z tych rzeczy, z takich niespodziewanych skoków jakiejś ślepej siły; przyjętem jest uważać je za przestarzałe, przecenione, — literackie wreszcie. A jednak sądzę, że to co spotkało mego przyjaciela Weymouth'a, może spotkać każdego. Oczywiście, że są mężczyźni, którzy mają w żyłach wo-

dę zamiast krwi, ale mój przyjaciel Weymouth miał krew niestety, miał tę słoneczność i radość życia w całej postaci, w twarzy i, w ciemno-niebieskich oczach.

W dalszym ciągu naszej wycieczki tak się wszystko składało, aby podsycać to uwielbienie. Mała Jessie Weymouth niewątpliwie bezwiednie dokładała wszystkich starań, aby temu dopomóc. Ona jedna wśród nas była ślepa na to, co zaszło. Trzeba pamiętać, że jej zdolność reagowania na zjawiska została przytępioną usilną pracą, którą miewali oboje w ciągu roku szkolnego, jak również stałem wyczerpaniem męża w ciągu wakacyj. Nie mogła poprostu wyobrazić go sobie inaczej, jak trzeźwym. A tu, jeżeli kiedykolwiek człowiek był pijany, — to właśnie on w tej chwili.

Cała sprawa stała się tak oczywistą, że przykro było patrzeć na jej trwające zaślepienie. Dopiero pod wieczór drugiego dnia, w obozie na skraju pustyni, z Fayoumem po za nami, otwarły się jej oczy. Tych dwoje siedziało blisko obok siebie na fotelach składanych, patrząc na zachód słońca. Arabowie, którzy dostali barana na pociechę po utracie rozkoszy Fayoumu, — hałaśliwie przygotowywali zwierzę do myśli o tem, że ma być zjedzone. Nasz ladaco i Radolin byli nieobecni; ja szkicowałem, Jessie Weymouth położyła się w swoim namiocie. Tych dwoje było samych, — twarze ich były zwrócone ku sobie, ręce być może stykały się. Oświetlenie ponad piaszczystymi pagórkami miało jakiś dziwny fioletowy odcień.

Nie wiem, czy dużo widzieli, ani też co do siebie mówili, — wtem Jessie Weymouth wyszła ze swego namiotu, ziewając i przeciągając się, i jak prawdziwy kociak zaczęła skradać się do nich z tyłu, żeby ich przestraszyć. Spostrzegłem, że o jakie trzysta kroków od nich zatrzymała się, niewidziana i niesłyszana. Usta jej się rozchyliły, oczy rozwarły ze zdumienia. Nagle zakryła oczy rękami, zawróciła i cicho weszła do swego namiotu.

Po upływie pięciu minut wyszła znowu, z wypiekami na twarzy. Ujrzałem, że podbiegła do nich, gorączkowo siląc się na wesołość, — ale ujrzałem również, że dla nich wprost nie istniała. Myśmy wszyscy dla nich nie istnieli. Znaleźli jakiś swój własny świat, my zaś należeliśmy do tego innego świata, który opuścili. Znacie zapewne, czytelnicy, pewien różowy kwiat, o bardzo silnym, mdłym i cokolwiek odurzającym zapachu, — wystarczy silniej wciągnąć ten zapach, aby ośladnął człowiekiem jakiś gorączkowy ogień. Tych dwoje musiało się zatruć tym kwiatem!

Wciśnięty w mym cienkim namiocie pomiędzy równie cienkimi namioty tych dwóch małżeństw, którym brak murów nie pozwalał na wyładowanie swych uczuć, — słyszałem, zdawało się, tłumione wymówki, tłumione tęsknoty. To milczenie tych dwojga kochanków było niezwykle przejmujące.

Nie miałem literalnie odwagi pomówić z Weymouth'em, dopóki byliśmy tak wszyscy razem. Ten angielski nauczyciel stracił, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wszelką zdolność bezstronnego obserwowania samego siebie. Tych dwoje poprostu zdawało się zapominać o wszystkim, co nie było ich miłością.

Nawet nasz ladaco był zbity z tropu. „W moim domu, jeżeli moja żona „źle się prowadzi, to ja ją biję“, rzekł do mnie, „jeżeli ja się źle prowadzę, ona mi drapie twarz“. Ale otóż to, — tu nie było murów odgradzających, to też Helena Radolin nie mogła zostać obitą, a Weymouth'owi nie można było twarzy podrapać, — bardzo niezręczna sytuacja.

Wszystko na świecie się kończy, to też nigdy nie doznałem uczucia większej ulgi, jak kiedy powrót do Mena House wybawił nas od tego straszliwie bliskiego obcowania ze sobą.

Jak gdyby za wspólnem porozumieniem siedzieliśmy przy osobnych stolikach. Po obiedzie zwróciłem się do Weymouth'a:

„Choć zobaczyć Sfinksa przy księżycu“.

Poszedł, wciąż jak we śnie. Dotarliśmy do Sfinksa w milczeniu i usiedliśmy u jego stóp na piasku. Przemówiłem wreszcie:

„Co masz zamiar teraz robić, mój stary?“

„Nie mogę jej opuścić“. Powiedział tak, jak gdybyśmy już ze dwa-naście razy dyskutowali ze sobą na ten temat.

„Ale przecież dwudziestego musisz wracać do Anglii?“

„Wiem“.

„Mój drogi chłopcze, to ruina. A Jessie?“

„Niech robi, co chce“.

„To szaleństwo, Franku“.

„Może. Nie mogę wyjechać, — to wszystko“.

„A co ona?“

„Ja nie wiem. Wiem tylko to, że gdzie ona będzie, tam ja muszę być“.

Nie rzekłem nic — siedziałem z wzrokiem, utkwionym w zarysowujący się w świetle księżycy na piasku niewyraźny cień rozbitego profilu Sfinksa. Skończył się dziwny, bierny, w pustyni zrodzony sen o miłości! Teraz musi się stać coś stanowczego — coś straszego może! Wyjąkałem:

„Na miłość Boską, człowieku, pomyśl o żonie, o swej pracy, o samym sobie — bądź rozsądny. Doprawdy nie warto!“

„Może. To nic nie ma wspólnego z rozsądkiem“.

Uwaga ta ze strony nauczyciela angielskiej szkoły powszechnej wydała mi się zupełnie fantastyczną. Nagle porwał się z miejsca, jakby ukąszony. Na twarzy jego malowało się cierpienie. Oto kobieta, którą kochał, zamknięta jest w czterech ścianach z człowiekiem, którego poślubiła. Za nami rozciągała się pustynia, — setki mil szczerzego, dzikiego piasku, — a wśród nich my, ludzie, zachowywaliśmy spokój i uduchowienie! Przed nami mury — a nami znowu owładnęły dzikie instynkty i szal zmysłowy! Dziwne to wszystko. Wątpię, czy Weymouth zdawał sobie sprawę z tej ironji, — opuścił mnie w każdym razie i pośpieszył z powrotem do hotelu.

Pozostałem jeszcze jakiś czas w obcowaniu z zagadką Wieków, która mi się wydała prosta i jasna wobec zagadki chwili, — poczem poszedłem za Weymouth'em. Czy rozwiązanie całego zagadnienia będzie leżało w płaszczyźnie interesów materialnych? Helena Radolin pieniędzy nie miała, Weymouth miał swoje nauczycielstwo i kilkaset funtów oszczędności, ojciec Jessie Weymouth był dymisjonowanym pułkownikiem, Radolin był współnikiem w banku.

Noc, spędzona w murach, wywarła swój wpływ. Radolin naza-

jutrz zabrał żonę z powrotem do Heliopolis. Weymouth'owie pozostali w Mena House, — za trzy dni mieli odpłynąć do Anglii.

Pamiętam dobrze, jak myślałem sobie: „Widzisz, nigdy nie należy przesadzać. To był zwykły miraż pustyni, który jak miraż zniknie. Nikt jeszcze nie został miłością rażony, jak piorunem“

Z uczuciem jednakże niezdrowej ciekawości udałem się do Heliopolis.

Czułem pewne rozczarowanie, — Helena Radolin była katoliczką, a Frank Weymouth gentlemanem angielskim. Te dwa fakty kładły tamę temu, co chciałem, aby było zatrzymane. A jednak w nas wszystkich kryje się jakieś zamilowanie do czegoś romantycznego, a nawet dramatycznego.

Tak! Radolin'ów już nie było. Tego samego dnia rano wyjechali do Konstantynopola. Siedziałem w zadumie nad filiżanką tureckiej kawy, w tym samym wschodnim hall'u, w którym się to wszystko zaczęło. Przed moimi oczami przesuwali się znowu: przyjaciel mój Weymouth — znudzony i bezsenny, jego mała żona — ożywiona i rozflirtowana; Radolin — taki dobroczynny i uprzejmy; Helena Radolin — milcząca, ze swemi zielonemi oczami, o zlekką zaczerwienionych jakby od płaczu powiekach. Koło mnie przesuwała się biała ubrana berberyjska służba; greccy panowie zabawiali swe podejrzane damy; Niemcy wszczynali gardłowy szwargot; orkiestra wygrywała najnowsze tango. Nic się nie zmieniło, brakowało tylko tych postaci, przesuwających się w mojej wizji. Wtem ujrzałem Weymouth'a zmaterializowanego — stał, jak zabłąkany przy samem wejściu z przedsiönka do hall'u. Z twarzy jego wyczytałem, że wiedział o tem, iż Radolin'owie wyjechali. Wyszedł pośpiesznie, zanim zdążyłem się doń zbliżyć. Załuję teraz, że nie poszedłem za nim. Tego wieczora w Mena House właśnie zaczynałem się rozbierać, gdy Jessie Weymouth zapukała do moich drzwi.

— Czy nie widział pan Franka?

Opowiedziałem jej, gdzie go widziałem po południu.

— To ta kobieta! — zawołała. — On nie wróci.

Zapewniłem ją, że Radolin'owie wyjechali. Przez dłuższą chwilę patrzyła na mnie w milczeniu, poczem rozplakała się. Płakała długo, a ja nie próbowałem jej uspokajać. Była nietylko zrozpaczona i nieszczęśliwa, ale gniewna. „Jeżeli tylko jest w stanie gniewać się, pomyślałem, to prędko przeboleje. Człowiek, dotknięty śmiertelnym ciosem, nie gniewa się“.

Wylała wreszcie swe zmartwienie, ale gniew czy przerażenie pozostało: Co miała robić? Usiłowałam przekonać ją, że Frank zjawi się na czas, aby mogli wyjechać nazajutrz wieczorem; prawdopodobnie próbuje wyleczyć się z tej przypadłości; powinna uważać to za gorączkę, za pewien rodzaj choroby. Roześmiała się dziko, szyderczo, i wyszła.

Weymouth się nie zjawił, za to nazajutrz rano otrzymałam list, zawierający czek na trzysta funtów, kartkę do żony i zapieczętowaną

kopertę, adresowaną do dyrektora jego szkoły powszechnej.

List do mnie brzmiał jak następuje:

„Mój stary!

Zgadza się z tem, że postępuję, jak łajdak; ale pozostaje mi jedynie to, albo słodkie wody Lety, — a w ten sposób skandal jest mniejszy. Wymyśliłem jakąś tam historję dla mego szefa — proszę cię wrzucić na pocztę. Czek opiekuje na cały mój majątek, prócz jakich pięćdziesięciu funtów. Zajmij

się nim dla mojej żony; otrzyma jeszcze z pięćset funtów ze sprzedaży naszych rzeczy. Wróci niewątpliwie do swego ojca i zapomni o mnie, mam nadzieję. Proszę Cię, bądź tak dobry i odprowadź ją na okręt. Wątpię, abym kiedykolwiek wrócił do Anglii. Przyszłość jest ciemna, ale gdzie jest ona, tam muszę i ja być. Narazie pisz do mnie poste restante, Konstantynopol.

Do widzenia!

Twój F.W.“

(c. d. n.)

31)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(D o w i e ś ć)

— Zostawiamy pani pół godziny czasu do namysłu...

— Pani sama przypisze sobie winę... zmienionym głosem rzekł prokurator.

Kancelarję zaległo milczenie.

Martynow pisał. Jewdokimow nie spuszczał oczu z oskarżonej.

W życiu Wandy był to stanowczo moment najgorszy.

Ujarmiona siłą jego spojrzenia, miała odczucie haniebne fizycznego gwałtu. Szczególnie wzmożoną wrażliwością, czy na skutek potężnych jego sugestji odczuwała dokładnie wszystko, co w tym czasie płodziła potworna jego wyobraźnia... a on tworzył... Wielki poeta deprawacji zaciekał się w chłostaniu do krwi białego jej ciała, lub na przemiany sycił opętaniczą swoją żądzą, ciskał nią o ziemię, łamał jej rozpacznie wyciągnięte ręce, miażdżył drobne stopy, gwałcił duszę i ciało... czuła każde smagnięcie różgi, ohydny uścisk każdy, czuła na swoich ustach jego usta zimne i wilgotne, czuła wstydzając ją rozkosz — mękę, wiedziała, że ją plami okrutnym czarno-księżetwem myśli... a nie mogła drgnąć, poruszyć się, wstać... nie mogła wyrwać się z pod czaru demona...

Trwało to wieki!

Wreszcie sędzia oderwał się od papierów, spojrział na zegarek, potem na prokuratora.

Twarz czynownika była nieprawdopodobnie skurczona, maleńka, podobniejsza do mordy psa, niż do oblicza, stworzonego na obraz i podobieństwo Boże. Z oczu, upior-

nie utkwionych w oskarżoną, ciekły łzy...

Sędzia się zmieszał. Stanął między nim a Wandą tak, by oskarżona tej twarzy wampira widzieć nie mogła... wtedy dopiero zelżał ucisk ohydny, rozpadł się zgniły czar... Wanda zemdląła pierwszy raz w życiu.

Gdy ją ocucono, prokuratora już nie było w kancelarji. Martynow bardzo zmieszany zgarniał papiery...

Ledwo ze zgrzytem zamknęły się za nią drzwi celi, padła Wanda na łóżko, zanosząc się straszliwym, głuchym płaczem. Nieludzko potargano w niej wszystko! Znieważono najczystsze białości duszy! Skalano! Dygotał nerw każdy, a spazm okrutny ścisnęło gardło. Szlochała tak do rana, wstrząsana łkaniem bez końca. Wtulała się w poduszkę, wciskała kołdrę do ust, by stłumić jęki, rwące się z piersi. Nie chciała, by usłyszano na korytarzu. Podśluchają... domysła się... doniosła siłą... I tak się w niej łamała i szamotała dusza godziny całe... płacz przechodził w skowyt szaleńczy, w zwierzęce wycie, tłumione resztą woli. Aż zabrakło jej siły i rozdygotane w piersi serce jęło drętwieć... atak mijał i wyczerpana z siłą, zasnęła nagle, nie wiedząc kiedy. A wówczas z przestworów szafiru...

schodzić zaczęły ku niej dziwne kwiaty. ponsowy goździk — młody bóg skrzydlaty...

úgorów smętnych ksieni, dziewanna złota się pochyli, i niesie dumną ciszę...

družka pamięci — niezabudka modra dalekich wspomnień błękitny pod stopy znużone ściele...

stokroć różowa, weselna służka mała wianeczki wije...

a fijołeczki, dziecięcyczka woni fijołkową wiosną darzą

Splamionej duszy skrwawiony strzęp...

Spowiły w ciszę...

w tumanne korowody mgieł..

w zaświatowej jaśni mleczny brząsek ją niosą..

na płatkach kwiatów..

na złotych skrzydłach młodego boga..

Prokurator jest ciężko chory.., ale zdecydował się: Jak tylko wyzdrowieje, jak minie ta przeklęta gorączka, każe „ją“ przewieść do cytadeli i chwyci się stanowczych sposobów...

Z wersalskim ukłonem powie „jej“ wyraźnie:

Panno Wando, zmuszony e-stem... zastosować do pani... chłostę... Pani mnie nie rozumie? — będzie pani chłostana różgami dopóty, dopóki pani nie przyzna się do wszystkiego... ach! jak pani zbiełała twarz... jak pani drży!... no... no... maleńka, różga nie zabija... boli trochę... tyle... ile po-

trzeba, żeby z pani wydobyć ze-
znanie... trochę to nieprzyjemne...
tak... tak... wstydliva, polska pa-
nienko! każę cię obnażyć... sły-
szysz... i będę cię chłostał sam!...
ha! ha! ha! zobaczymy, czy będziesz
taka cicha, jak zawsze... ty biała!
do krwi będę cię siekł!... ty prze-
kłęta!... Warszawa się dowie?!... ha!
ha! Pluć mnie na Warszawę! Pluć!
kopać!...

Padł!...

Piana zaczęła mu występować
na usta... Duszno! mdło! Ból prze-
nikliwy!... zrów atak!... sięgnął po
lekarstwo... ręka mu opadła...

* * *

Minęło dziesięć dni i dziesięć no-
cy bezsennych, wypełnionych oczę-
kiwaniem i niepokojem.

Wandy przed oblicze władzy nie
przyzywano.

Dziesiątego dnia, pod wieczór,
zamykając drzwi celi, szepnęła jej
młoda dozorczyń.

— Wie pani, umarł prokurator...

— Kto?!

— No, Jewdokimow.

— Co się stało?

— Umarł nagle. Mówią, że to
przez panią... Pani go urzekła. No
dobranoc!

Tak! a więc tak! Najstraszniejsza
ze zmór więziennych odeszła w
niepojętą krainę śmierci!... Kto go
zabił? Kto potworowi wydarł moc
życia?...

Wanda patrzy w głąb własną
i nie wie... Tajemnica! Wszystko
jest wielką, strasliwą tajemnicą.
Świadczy o niej okropne, wewnętrzne
drżenie, jak gdyby w niepoję-
tej zgrozie drżała dusza...

Wtem, wali się na Wandę sen, sen
przemózny, nie zaznany od dni
dziesięciu i dziesięciu nocy; to—
ciało znużone upomina się o spo-
czynek...

* * *

Nie było już żadnych dalszych
badań. Sędzia Martynow zawiado-
mił oskarżoną, że śledztwo w jej
sprawie zostało ukończone.

* * *

„Dwanaście lat ciężkich robót“
„pozbawienie praw“ „osiedlenie do-
żywczo w oddalonych gubernjach
cesarstwa“...

...Słowa ciężkie, słowa — ka-
mieniami padają na pochyloną głowę
oskarżonej.

Kamienowana niemi, nie widzi
sali sądowej, sądu, obrońcy...

Ciemność dokoła niej, a na tem
polu ciemności wypisane ogniste-
mi zgłoskami słowa starej, Adamo-
wej przepowiedni: „a wyrok na cię
wyda wróg potężny!“

Spełniło się wszystko, do koń-
ca — a teraz ona idzie w podzie-
mia, na długą, czarną noc kona-
nia, na zawsze...

Przed nią oto wróg potężny, try-
umfujący, w chwale i sile... w imię
Boga i Krzyża sprawiedliwość wy-
mierza... karze jej bunt... a za nią
Ojczyzna jej zdeptana... ..i na za-
wszel..

Podniosła wzrok, by spojrzeć w
oczy... nie Moskalowi, czytającemu
wyrok, ale Temu... tam... na Krzy-
żu... by spytać Go o tę drobnost-
kę... o sprawiedliwość... na ziemi...

Zdumiała!

Niema Sądu, niema sali!

Otwarły się przestworza...

I widzi:

Wawelski Dwór! Hej Wawelski
Dwór! Czar wieje od pół, od mo-
gił, od skał.. Słońce zachodnie
łuną purpurową, królewską go stroi
...Wisła - woda szemrze mu u stóp...
kłonią mu się Bielan błękitnawe
wzgórza i Naczelnikowa wyniosła
mogiła i dalekich, najdalszych pa-
górów omglone, w pasma tęsknot
spowinięte czoła... Na pożegnanie
przyszły — Najukochańszel! — tak
myśli dusza i tajemniczym aktem
woli odrywa się od formy ciała
i leci... i jakby na skrzydłach nad
polami Ojczyzny się waży — tam
gdzie dusza Polski kołysała się on-
gi w kolebce z wikliny, gdzie doj-
rzewała na bój, na wieczysty bój
ze Smokiem...

Dostreśli sędziowie ekstatycz-
nej radości wyraz na twarzy ska-
zanej i... przerazili się w sobie...

Po sali powiało czemś niepo-
jętem.

W tejsze chwili zabłakana plama
słoneczna, co już od paru chwil
migało po mrocznej sali, padła na
promienną koronę krucyfiksu i roz-
iskrzyła ją w tysiące skier ogni-
stych.

Sędzia skończył czytanie wyroku.



6.

8.

ROZDZIAŁ XIX

KATORŻANKA

Odziano ją w białą, płócienną
spódnice, luźny kaftanik i białą
chusteczkę na głowę. To był strój
letni. W zimie, zamiast płótna no-
szono przepisowo grube, żołnier-
skie sukno tego samego kroju.
Ozdoby wszelkie, nawet błyszczą-
ce szpilki we włosach, surowo by-
ły wzbronione. Dopuszczano je-
dnak białą fartuszek.

Od chwili uprawomocnienia się
wyroku, katorżance mówi się „ty“.
Za przekroczenie regulaminu, opór
władzy, nieposłuszeństwo, próbę
ucieczki naczelnik więzienia ma
prawo ukarać ją chłostą, ciemni-
cą, zabronić posyłek z miasta, nie
dozwolić widzeń — wedle uznania.
Pozbawiona jest praw. Z człowieka
stała się numerem.

W chwili obłóczyn, któremi zrów-
nana ją z zastępem morderczyń,
podpalaczek, złodziejek, doznała
Wanda niewymownego upokorze-
nia i odrazy do tych szat hańby.
Ale dotknięcie czystego, lnianego
płótna nie było wrogiem. Te nitki,
wyrósłe na dalekich polach, któ-
rych nie ujrzy już nigdy, musnęły
ciało jej chłodną pieśczętą. Miłe!
Podobnie drogim stał jej się od
tej chwili smak wody. Czysta,
chłodna dochodziła wprost z wi-
ślanych nurtów i za każdym razem
niosła pozdrowienie.

Wandy nie użyto ani w pralni,
ani do klejenia pudełek, co było
zwłaszcza w lecie, w ciasnej ku-
chni, przy ogniu, na którym wciąż
gotował się klej, istotnie bardzo
ciężkim wysiłkiem fizycznym. Praw-
dziwą zaś katogę stanowiło tam
towarzystwo, złożone z najciężej
pokaranych zbrodniarek. W prze-
syczonej żarem atmosferze tego
warsztatu wirował od rana do wie-
czora grad przekleństw i wywisk
ohydnych, a czasem straszniejszy
od tamtych przelatywał gruby, cy-
niczny śmiech.

Ale już podczas śledztwa dowie-
dziano się o jej talencie do szycia
i haftu, więc odkomenderowano ją
z początku do szwalni, gdzie schy-
lona nad maszyną szyla grube ko-
szule żołdackie od szóstej z rana
do wieczora, z przerwą na obiad
i spacer godzinny po ogródku wię-
ziennym.

A potem, pod pozorem, że „po-
lityczna“ mogłaby wywierać zły
wpływ na „ogólne“ (tak zwano
grzecznie przestępczynię kryminal-
ne) kazano maszynę Wandy prze-
nieść do jej celi. (c. d. n.)

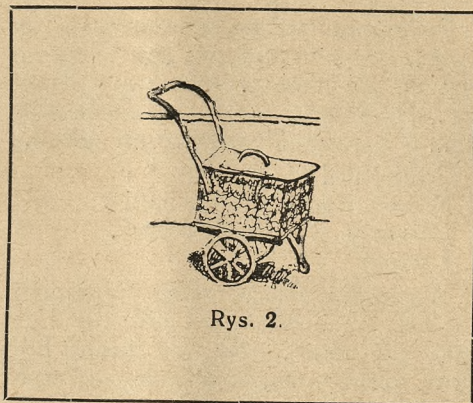
REFORMA GOSPODARSTWA KOBIECEGO

(dokończenie)

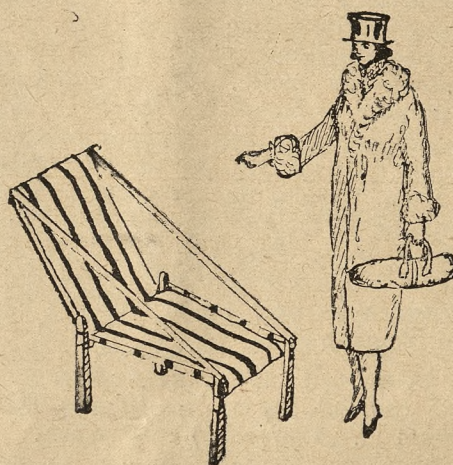
Koszyk-wózek przyda się nie-tylko może gospodyniom, ze względu na dosyć okazały, mimo lekkości konstrukcji, ciężar jego, ile mieszkańcy przedmieścia, który musi przebywać drogę częściowo pieszo, częściowo—za pomocą środków lokomocji. Rys. 2 a i b objaśnia sposób użycia tego, sprawiającego nader estetyczne wrażenie wózka. Cena: 45×36×28 cm.—85 franków; 50×32×37 cm.—97 fr.

Eclipse, stół-walizka, jest wyrabiana na dwie lub cztery osoby, kosztuje 200—300 franków. Zawiera on 2 względnie 4 krzesła, tyleż całkowitych nakryć i dosyć miejsca wolnego—by pomieścić odpowiednią ilość wiktualów. Ten pomysłowo skonstruowany przedmiot, nieoceniony podczas wycieczek zamiejskich, otrzymał zaszczytną wzmiankę na ostatnim konkursie Lépine'a.

Samorestaurant (uderza polskie brzmienie nazwy; czyżby za francuskim fabrykantem krył się polski wynalazca?) zasługuje również na obszerniejszy opis. Jest on niezmiernie użyteczny dla samotnej kobiety, którą, jak słusznie wyraża się prospekt „znużyła ciasnota u restauracyjnego stołu, niedomyte naczyńia, źle przyrządzone potrawy, opryskliwi, nieuważni kielnerzy”, dla tej, której żołądek nie znosi



Rys. 2.



Rys. 3.

pozostawia nic do życzenia. (Rys. 3) Cena jego — 45.50 franków.

„Liane” jest marką fabryczną doskonałych rozsuwalnych prętów do firanek i zazdrostek, o niskiej cenie (2 fr. 50 c.—4 fr. 50 c.), które są na końcach w odróżnieniu od używanych ogólnie prętów, zaopatrzone w haczyki, co pozwala uniknąć obsuwania się i spadania firanek, czy zazdrostek.

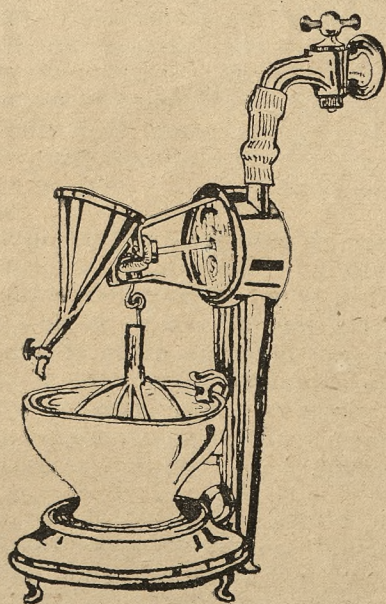
Z pośród pomniejszych eksponatów wymienię jeszcze rozliczne przyrządy do zapalania. Presto zapala wszelkiego rodzaju ogniska w przeciągu paru minut za pomocą gazu, pozwalając uniknąć tak niebezpiecznego, jak wszystkim wiadomo, podpalania naftą, praktykowanego przez ogół służących. Cena: 12 — 18 franków; zużycie gazu minimalne.

Lerapide jest zapalniczką platynową, która przez reakcję chemiczną zapala gaz; bywa bądź ruchoma, bądź przymocowana na stałe, prosta, lub zakrzywiona. Cena: 4 fr. 50 c.

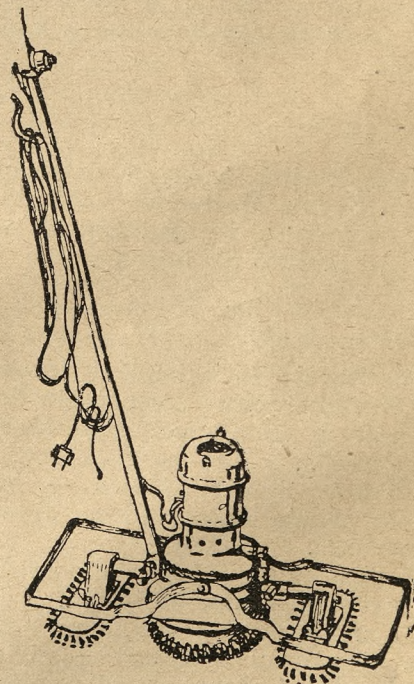
Podobnie jak na konkursie Lépine'a króluje w salonie elektryczność. „Je sais tout”, znany miesięcznik francuski, poświęcił zastosowaniu jej do potrzeb domowych, w związku z Wystawą, specjalny numer, prześlicznie ilustrowany. Długi artykuł wyjaśnia czytelnikom

oszukanej stawy restauracyjnej lub zajęcia nie pozwalają poświęcać nieraz przeszło godziny na posiłek. „Samorestaurant”, którego cena jest bardzo niska (45—55 franków) zawiera trzy przegródki na zupę mięso i jarzynę lub inne trzy dania, małą maszynkę spirytusową do zagrzania lub odgrzania potraw, oraz po przeciwnej stronie walizki nakrycie i duże przegródki zapasowe. Pozwala on we Francji, a niewątpliwie i u nas na 50% oszczędności w porównaniu z wiktem restauracyjnym. Naturalnie, że spożycie takiego odgrzewanego obiadu posiada wiele ujemnych stron, ale bywają sytuacje życiowe, w których trzeba wybierać między mniejszym a większym złem i w takich wypadkach „Samorestaurant” może oddać zbawienne usługi.

Congin wydaje mi się najwygodniejszym i najlżejszym typem składanych siedzeń z pośród widzianych dotychczas, przekonałam się, że pod względem wygody nie



Rys. 4.



Rys. 5.

w sposób naukowy rozmaite systemy centralnego ogrzewania oraz kuchni elektrycznych i gazowych.

Nadszedł zresztą czas, gdy, jak słuszenie zaznacza autor artykułu, gospodyni, o ile nie ma (co nawet w obecnej dobie emancypacji rzadko się zdarza) wykształcenia technicznego, winna się zwracać o poradę do specjalnych instytucji, badających nowe wynalazki w zakresie gospodarstwa domowego. We Francji zajmuje się tą czynnością „Urząd Wynalazków i Badań Naukowych” (Office des Inventions et des Recherches Scientifiques) oraz t. zw. „Ap — El” (Société pour le développement des applications de l'électricité), który rozpowszechnia, dokładne katalogi sprawdzonych i zaopatrzonych w stempele towarzystwa przyrządów.

Nie mogąc, ze względu na brak miejsca, podać reprodukcji ilustracji w „Je sais tout”, poprzestaną na ich sumarycznym opisie, by dać Czytelniczkom syntezę wszystkiego, co dotychczas działo się na tem polu. Samo przez się, rozumie się, iż w praktyce, zwłaszcza u nas, taki dom elektryczny pozostać musi „pium desiderium”. Ale tak samo, jak nowoczesny człowiek, zależnie od okoliczności, posługuje się rowerem, dorożką, koleją i autem, a w razie gwałtownej potrzeby nie zawaha się nawet, w miarę możliwości, przed znacznym wydatkiem i emocją, związaną z jazdą aeroplanem — tak postępową gospodyni może obywać się bez skomplikowanych i kosztownych aparatów, póki poważne względy nie skłonią jej do ich nabycia. Zawsze jednak winna śledzić rozwój techniki, by nie narazić się w przyszłości na sytuację bez wyjścia.

Jeden pokój „elektrycznego domu”, znajdujący się koło kuchni, przeznaczono — na skład maszyn gospodarskich i na pralnię. Widzimy tam dźwig, pralkę, prasowniczkę ręczników, prześcieradeł i t. p., maszynę do mycia statków (która się bardziej nadaje do gospodarstwa domowego, niż opisana przez nas w swoim czasie); przyrząd do ostrzenia noży, vacuum; szczotkę elektryczną, spełniającą rozliczne funkcje froterowania i piłowania podłóg (rys. 4). Zużywa ona około 400 wolt na podłogę. Cena jej — 1430 franków. — Na stole stoją różnokształtne żelazka elektryczne, na ścianie umieszczono wentylator, zegar elektryczny i telefon, potrzebny tam, gdzie pokoje gospodarskie znajdują się na oddzielnym piętrze. Wszystkie maszyny zasilane są przez dynamo, które ładuje serje akumulatorów.

Przejdźmy do kuchni. Zręczny piecyk elektryczny, wielkości małe-

go stolika, gotuje, piecze i smaży: można zmieniać dowolnie natężenie ognia. Przyrząd do przecierania spełnia za gospodynię jedną z najuczciwszych funkcji, a dorównywa tem pod względem użyteczności aparacik do ubijania piany i tak często spożywanych we Francji sosów majonezowych; ruszcik elektryczny przyrządza smaczne grzanki („toasty”); maszynka do kawy (cena marki „Velox” 130 — 210 franków na 2 do 8 filiżanek) gotuje w przeciągu 5 minut kawę, sproszkowaną uprzednio w elektrycznym również młynku; elektryczny samowar dostarcza herbaty. Jeśli się ktoś spóźnił na obiad, można mu odegrać jedzenie na maszynce, a płyny przez włożenie przyrządu, opisanego przezemnie w swoim czasie. Zresztą w nagłych wypadkach zdoła gospodyni przyrządzić całkowite menu w przeciągu pół godziny, używając doskonałego świeżo wynalezionej aparatu. Jest on tak zbudowany, że jednocześnie pozwala smażyć mięso pod maszynką, a gotować nad nią; podczas spożywania dwóch dań pozostaje dosyć czasu, by na trzecim rondlu, o dowolnie regulowanej wysokości, przyrządzić pieczeń. Naturalnie, że nowoczesna gospodyni rozporządza również maszynką do gotowania przy stole jajek, włożonych uprzednio do metalowego jajecznika. Nie chcę wreszcie pominąć jeszcze jednego ciekawego akcesorium kuchni elektrycznej — placki na muchy, które dostały, jak widzimy, zaszczytu, p zysługującego dotąd tylko amerykańskim zbrodniarzom — momentalnej śmierci od prądu elektrycznego. Dwudziesty wiek podejrzewano niesłusznie o brak uczuć humanitarnych, skoro zlitował się nawet nad męką biednych... muszek trzepocących się na morderczym kleju.

Zajrzyjmy nakoniec do buduaru i do sypialni państwa. Przed wanną, zaopatrzoną oczywiście w piecyk elektryczny, leży ogrzewany dywanik; elektro-wibrator do masażu, przyrząd do suszenia włosów i rurki pozwalają przy pewnej zręczności obywać się bez fryzjera i masażystki. Sterelizator zapewnia w razie potrzeby skrupulatną higienę, a elektryczne kataplazmy i butelki do ogrzewania łóżka przydadzą się osobom o wątłym zdrowiu. Na stoliku nocnym stoi telefon; szczęśliwy śmiertelnik, którego stać na ten doskonały „dom elektryczny” może „na domiar dobrego” słuchoać co wieczór koncertu radioelektrycznego, a nawet za pośrednictwem teatofonu, przedstawienia w operze lub w teatrze.

Wspomnieć należy, że w domach, w których brak elektryczności lub drożyzna prądu elektrycznego nie

pozwała na używanie trzepaka elektrycznego, przyda się trzepak automatyczny Cigogne (rys. 5) poruszany prądem wody z kranu. Cena jego około 30 — 35 franków.

Z pośród przyrządów elektrycznych, nie omówionych w „Je sais tout” wymienię nadto:

Lave-tout, szczoteczkę elektryczną do mycia statków. Zamiast konstruować wielki rezerwuar, co pociąga za sobą poważne koszty, postanowił wynalazca poprostu przyspieszyć i ułatwić zwykły system zmywania: szczoteczka, z której wytryska bezustannie ciepła (40°) lub zimna woda (18 litrów na godzinę), zmywa najbrudniejsze statki, pozwalając uniknąć zanurzania rąk w brudnej wodzie. Cena jej — 300 franków włącznie z przyrządem do grzania wody.

Groom électrique jest „en tout cas” gospodyni. Jest to przyrząd w kształcie stolika nocnego, który porusza najrozmaitsze aparaty, bądź wkrębowane w odpowiedni sposób, bądź przyłączone za pośrednictwem transmisji.

Maszyny do szycia, poruszane przez małe motory Brunswiick wykonywują dziennie trzy razy więcej pracy, niż zwykłe maszyny; zużycie elektryczności w przeciągu 10 godzin kosztuje we Francji około 50 centymów. Cena motorów 210 — 420 franków, zależnie od prądu i wielkości.

Nadto zauważyłam na wystawie różne aparaty do zagrzewania wody w celu przyrządzenia kąpeli, mycia statków i t. p. Kosztują one 235—435 franków, gdy są gazowe, zaś 585 franków, gdy są ogrzewane elektrycznością.

F. S.

REFLEKSJE

Wymawiają nam antyfemiści, że kobieta, która od tak dawna męczy się nad igłą, nie wynalazła maszyny do szycia. Jakże się mogą cieszyć, że kobieta, która od początku ludzkości chowa niemowlęta, nie zastanowiła się nad ułatwieniem i ulepszeniem tej pracy.

Każda matka przechodzi chorobę, która się nazywa „pierwsze dziecko”. Nie chcę, broń Boże, nikogo gorszyć, mam na myśli wychowanie pierwszego niemowlęcia.

Zjawia się naraz w kochającym się małżeństwie takie bobo. Małutkie, niezdarne, bezbronne, do niczego, co się w życiu widziało, niepodobne, a takie drogie, takie strasznie drogie. Przypuśćmy, że było pożądane, wyczekiwane. — Radość niema granic! Ale bobo się krzywi, kicha. Czy wyraz twarzyczki nie jest zbyt bolesny. Czy się

nie zaziębiło? Czy nie chore? Trzeba poprosić lekarza. Ale do każdego skrzywienia się i kichnięcia. W dodatku w nocy! Niepodobna, wyśmiałyby mamusię. A tu jakoś z żołądkiem niezupełnie dobrze. Krzyczy już naprawdę boleśnie.

Zaczynają się noce bezsenne, dnie pełne niepokoju. W kącie idą wszelkie zainteresowania, wszystkie stosunki towarzyskie. Mąż wracając do domu na obiad, zastaje żonę w neglizżu, i nawet nie konieczne świeżym. Nie mówi się w domu o niczym, poza zdrowiem dziecka. Mąż z urzędu uspakaja, ale sam się też po cichu trapi. Już oboje opanowani są chorobą „pierwsze dziecko”. Mijają miesiące, dużo łąz wyleje matka, dużo zdrowia straci dziecko, nim zwyciężą tę chorobę.

Mój Boże, czyż nie lepiej było mniej tańczyć w karnawale, a przyrzec się trochę tym maleństwom, oswoić się chociaż na tyle, żeby bez strachu brać je do ręki. Że też te młode panie uczą się i biologji, i logiki i historii kultury. Wiedzą, że żyjemy w wieku specjalizacji. Same nie obstalują sukni u bielizniarki, ani bielizny u specjalistki od okryć. A nie przyjdzie im na myśl, że wychowanie niemowlęcia, to nie jest fach pośledni, w którym wszelkie partactwo jest dozwolone, lecz pracą odpowiedzialną, wymagającą rzetelnego przygotowania teoretycznego i praktycznego, może przede wszystkim praktycznego. Ach, jakbysię antifeminiści cieszyli, gdyby o tem wiedzieli. Dr. Z. A.

STRZAŁKI

Z RAPORTÓW STUDENCKICH.

(autentyczne)

Egzamin u profesora X. Wydział prawny. Trzy studentki. Kilku studentów. Pierwsza przystępuje panna Y. Spódniczka do kolan, wąska, oblepiona. Cieliste, ze lśniącego jedwabiu pończoszki. Głęboko wycięte pantofelki z długimi nosami, małpie futro i kołnierz powyżej uszów. Z pod kapelusza, naciśniętego na mocno podczernione brwi, wystaje tylko koniec upudrowanego nosa, połyskują wykarminowane usta.

— Może pani zechce zdjąć palto—prosi pan profesor.

— Kiedy nie jestem odpowiednio ubrana...

— No, to chociaż kapelusz...

— Kiedy nie zdążyłam się uczesać przed wyjściem.

— W takim razie nie będzie pani odpowiadała dzisiaj. Muszę widzieć osobę, z którą rozmawiam.

Koniec upudrowanego nosa porusza się niespokojnie. Karminowe wargi drżą z pasją.

— O, jeżeli przeszkadza panu profesorowi moje palto i kapelusz, to dziękuję, bardzo dziękuję. Nie wiem, co one mogą mieć za związek z egzaminem. Widzi, a raczej nie widzi mię pan profesor po raz ostatni.

Gwałtowne, ale nagle powstrzymane (żeby nie pękła obręcz spodniczki) szarpnięcie kolan. Podniesienie jeszcze mocniej w górę kołnierza, opuszczenie na sam nos kapelusza. Szybki ruch w stronę wyjścia. Od drzwi zwrot kapelusza i ramion ku sali. Szorstki głos, jakby piorun groźby.

— Proszę wiedzieć, że od jutra przrzucam się na filozofję. Do widzenia...



CZY KOBIETA MOŻE BYĆ SZOFEREM?

Cóż za dziwne pytanie! Wiemy przecież dobrze, że wiele kobiet prowadzi swoje własne (lub cudze) samochody. Podawałam już kiedyś w tej rubryce wiadomości o szoferkach amerykańskich i francuskich. A jednak... władze magistrackie w Berlinie podobno rozstrzygnęły to pytanie — przecząco, jak o tem donosi „New York Evening Post”.

Polemikę na ten temat wszczęło jedno z pism niemieckich, zamieszczając artykuł, w którym alarmuje opinię z powodu, iż „takie rzeczy” (t. j. kierowanie samochodem przez kobietę) dzieją się w Ameryce. — Autor artykułu wzywa miarodajne czynniki do niedopuszczenia, aby coś podobnego mogło mieć miejsce w Niemczech. Najciekawsza jest jednakże motywacja, dlaczego? Przynajmniej ją dosłownie.

„Kierowanie samochodem jest sprzeczne z najgłębszą treścią natury kobiecej. — Kobieta, to istota wrażliwa, intuicyjna, nie byłaby prosto w stanie opanować huraganu wrażeń duchowych, jaki musiałaby z konieczności ogarnąć ją w chwili, gdy ręka jej spoczęłaby na kierownicy samochodu”.

CZY WIELCY LUDZIE POWINNI SIĘ ŻENIĆ?

Pisarz angielski Sydney Lewe, opublikował studjum pod tym tytułem w którym rozważa ten interesujący problemat ze strony zasadniczej, popierając swe argumenty tysiącem przykładów. Ostateczną konkluzją jego badań jest — odpowiedź przecząca.

Genjalni ludzie — twierdzi autor nie nadają się wogóle do życia małżeńskiego, są (prawie bez wyjątku) złymi mężami, a poza tem nie umieją zupełnie pogodzić swego życia osobistego z wymaganiami życia rodzinnego. Jako przykłady wylicza autor kilkunastu najbardziej znanych pisarzy angielskich, których życie małżeńskie było bardzo nieszczęśliwe: Szekspira, Dryderna, Milтона, Byrona, Burnsa, Shelley'a, Ruskina'a, Dickensa, Coleridge'a i t. d.

Szekspir ożenił się w 18-tym roku życia z dziewczyną bardzo niskiego pochodzenia i żył z nią bardzo niezgodnie. Milton żenił się 3 razy, a pierwsza jego żona opuściła go po kilku tygodniach pożycia. Żona Shelley'a, nie znalazłszy szczęścia w małżeństwie, odebrała sobie życie. Swift i Walter Scott mieli nieskończone kłótnie małżeńskie, musieli się w końcu rozwiódzić.

Przykłady podobne można mnożyć w nieskończoność. Na liście „nieszczęśliwych małżeństw” znalazły się nazwiska bodaj wszystkich, bez wyjątku prawie, genialnych twórców nauki i sztuki. Jakież jest jednakże powód tego faktu? pyta autor. Odpowiedź trudna — i nie można twierdzić z całą pewnością, kto tu ponosi winę: czy mąż, ów człowiek niezwykle, nie umiejący się przystosować do wymagań życia codziennego, żyjący we własnym świecie swoich marzeń i myśli, czy też żona, która najczęściej nie potrafi odczuć wyjątkowych potrzeb duchowych męża, nie umie mu stworzyć atmosfery, sprzyjającej dla jego twórczości, nie dba o to, aby z życia jego usunąć wszystko, co poziome, codzienne i małostkowe.

Jakże często przyczyną tych nieszczęść rodzinnych bywa — zazdrość, zwykła kobieca zazdrość, i to nie tylko już o inną kobietę, lecz i o samą twórczość męża, odciągająca go od myśli o rodzinie, stwarzająca mu jego własny świat, do którego ona nie ma wcale dostępu...

Konkluzja więc taka: wielki człowiek nie powinien się żenić. A jeśli już chce konieczne to uczynić, niechże wybierze sobie żonę, któraby była także swego rodzaju typem niepospolitym. Sub-

telność, wyższa kultura umysłowa i duchowa, a nadewszystko absolutny brak egocentryzmu i wielka, wszystko przebacząca dobroć, powinny cechować tę, co chce stanąć u boku genjusza, jako dozgonna towarzyska życia.

NOWA METODA NAUCZANIA GEOGRAFJI

Ktokolwiek podróżował po krajach zachodniej Europy, wie dobrze, jak charakterystycznymi i rzucającymi się w oczy są olbrzymie plakaty ogłoszeniowe, umieszczane nie tylko na ludnych ulicach miast, ale i na stacjach często wzdłuż toru kolejowego, w miejscowościach pozornie odludnych, ale przyciągających turystów, jak np. piękne doliny i wąwozy szwajcarskie, i t. d. Ogłoszenia te, tak charakterystyczne dla krajów, z których pochodzą, posłużyły pewnej nauczycielce w Brighton, pannie Guy, do poglądowych ilustracji lekcji geografii. Posiada ona niezmiernie interesującą kolekcję reprodukcji i odbitek kolorowych tych ogłoszeń, nadających się, jej zdaniem, lepiej niż fotograficzne zdjęcia z natury do ilustrowania wykładów geografii przez pobudzanie wyobraźni dzieci i przedstawianie im cech charakterystycznych każdego kraju, odbitych w jego twórczości graficznej.

Z. B.

W Y C H O W A N I E FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIEC

CZY KOBIEC MOŻE UPRAWIAĆ WSZYSTKIE TE SPORTY CO MĘCZYZNA?

Tak wśród sportsmenów i ludzi zajmujących się teorią wychowania fizycznego, jak i wśród szerszego ogółu spotkać się można z krótko różnymi zdaniem co do kwestji, czy kobieta może uprawiać te same sporty co i mężczyzna.

Jedni odmawiają jej do tego zdolności i prawa w imię higieny, inni w imię estetyki lub przyzwoitości. — Jedni twierdzą, że jest za słaba wogóle do cięższych sportów, inni pozwalają jej uprawiać tę lub ową gałąź sportu, zabraniają natomiast gorąco innej.

Życie zadaje najczęściej kłam tym z góry powziętym uprzedzeniom i zbliża kobietę do coraz zupełniejszego równouprawnienia

z mężczyzną i w tej dziedzinie. Co raz rzadziej słyszy się już określenie „sport męski“, „sport kobiecy“.

Nie rosząc sobie bynajmniej pretensji do rozstrzygnięcia w krótkim artykule tak ważnego zagadnienia, nie chcąc być równie arbitralną jak ci, którzy z pewnością niezachwianą twierdzą jedno lub drugie, chcę jednak zwrócić uwagę na rzeczy, które mogą rozjaśnić tę sprawę.

Przedewszystkiem ułatwi nam bardzo sąd nasz, gdy raz na zawsze wyeliminujemy z naszych rozważań owe dwa względy często powtarzane: estetykę i przyzwoitość. Spieszę wyjaśnić, że bynajmniej nie mam zamiaru eliminować estetyki i przyzwoitości z życia sportowego, twierdząc tylko, że dla pojęć tych w naszych rozważaniach nie ma miejsca, pozostaje więc do rozpatrzenia jedynie względ trzeci, bardzo poważny, bardzo mało zbadany t. j. higiena kobiety.

Dlaczego uważam, że nie mają racji ci, którzy twierdzą, że kobieta nie powinna np. jeździć na rowerze, grać w football lub dosiadać „po męsku“ konia, gdyż nieładnie przytem wygląda (co też jest kwestją gustu) postaram się wyjaśnić.

Przedewszystkiem mojem zdaniem każdy sport, a więc i wyżej wymienione, uprawiany dobrze, przez wyćwiczoną, dobrze zbudowaną i odpowiednio ubraną osobę jest estetyczny.

Że widuje się ogromnie śmiesznie i karykaturalnie brzydko wyglądające kobiety np. zbyt otyłe Niemki na rowerach, w strojach turystycznych lub kąpielowych, to niczego nie dowodzi.

Czyż mężczyźni dlatego, że jest za gruby lub przesadnie wąły czy zgarbiony zabrania kto przywdziać efektowny strój Sokoła lub wioślacza?

Głównym celem wszelkich ćwiczeń fizycznych, a więc i sportów jest dążenie do poprawienia zdrowia, siły i piękna rasy. Nie można więc jednostkom słabiej wyposażonym przez naturę odmawiać prawa do wybrania tego sportu, który im się podoba, który lubią, dlatego, że nie wyglądają przytem dość estetycznie. Czyż przyszłoby komu

do głowy zabronić wstępu na salę balową, lub do teatru, gdzie powinno niepodzielnie panować piękno, osobie, która tam może razić brzydką budową lub niezręcznymi ruchami?

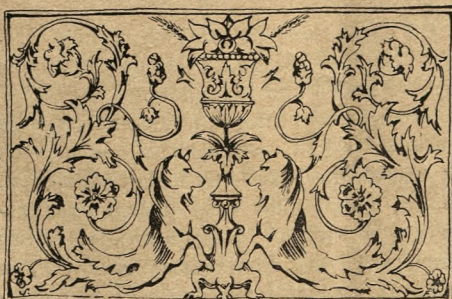
Dlaczegoż tylko w sporcie mamy być tak wymagający? — Mogłoby to zabić w zaczątkach i tak słaby jeszcze wśród naszych kobiet pęd do ruchu i życia sportowego.

Jeszcze mniej uzasadnioną mojem zdaniem jest obawa, czy ten lub ów sport jest dość przyzwoity dla kobiety; a jakże często spotkać się z nią można szczególnie gdy idzie o dziewczęta w wieku szkolnym.

Dziś, gdy w naszym dążeniu do podniesienia stanu fizycznego rasy, w uznaniu dla narodów silnych, pięknie zbudowanych, w urzędzeniu publicznych zawodów, nagradzaniu zawodników, w nazwie samej olimpiady, wzorujemy się i zbliżamy do ideałów starożytnej Grecji, gdy tłumy podziwiają podczas igrzysk nawpół nagich mężczyzn — bo stroju lekkoatlety lub pływaka nie można przecież uważać za zupełne ubranie — czas by było już przestać uważać za nieprzyzwoite częściowe obnażenie niezbędne przy niektórych sportach lub przywdziewanie przez kobietę spodni lub majtek, bez których nie do pomyslenia są narty, wysokogórska turystyka czy nawet trudniejsze ćwiczenia gimnastyczne.

Nie uważam bynajmniej za argument, przemawiający na korzyść swobody strojów sportowych faktu, że dziś już nie tylko negligé i stroje balowe, ale nawet zwykłe wizytowe suknie zaledwie okrywają nagość ze swojemi olbrzymimi dekolami, rozcięciami w najrozmaitszych miejscach, krótkością nie wywołaną żadną istotną potrzebą, brakiem rękawów itp. Tak samo ogólnie używane stroje kąpielowe z cienkich jedwabnych trykotów, również porozcinane, ze sznurowaniami, kokardami itp. stroje nie mające nic wspólnego ze sportem pływackim, a służące do leżenia na plaży lub conajmniej zanurzania się delikatnego w płytkiej wodzie. O strojach tych każda rozsądna kobieta ma swoje zdanie. Te należałoby zwalczać i potępić decydująco.

Tymczasem jakże często można się spotkać, nie wiem sama, czy z tak bezbrzeżną perfidją czy z bezmyślnością osób, które uznają zupełnie sposób ubierania się pań na bale lub plaże, patrzą z całkowitym spokojem na swoje córki wytańcowujące różne shimmy i hupahupa, a nie pozwalające im używać do gimnastyki szarawarów lub sięść po męsku na konia, a to samo, na co poswalają w modnych



kurortach nadmorskich, gorszy je widziane w klubach sportowych nad Wisłą.

W sporcie wszelkie wyrafinowanie, a podkreślające budowę kobiecą, niepotrzebne obnażanie się czy obciskanie jest niedopuszczalne i nieobliczalną krzywdę wyrządzają sportowi kobiecemu te panie, które swoją kokieteryję i powiedzmy „beztroską przyzwoitość“ przenoszą i do tej dziedziny. Zrażają tem osoby poważne, a mało mające wspólnego z wychowaniem fizycznym, zamykają młodzieży żeńskiej drogę do swobody, a tem samym samodzielności.

A więc reasumując; sportów nieprzyzwoitych niema, strój sportowy może i powinien odsłaniać na zbawienny wpływ powietrza i słońca dużo nagiego ciała, ma być luźny, aby nie tamować swobody ruchów, spódnica jest w większości sportów niedopuszczalna, a nawet niebezpieczna jak w górach, na nartach lub na koniu, strój ten ma być estetyczny ale i skromny właśnie dlatego, że zwraca uwagę swoją niepowszednością i że więcej odkrywa.

— W następnym numerze rozważać będę poszczególne sporty z punktu widzenia, jaki wpływ wywierają na organizm kobiecy i do których różnice budowy kobiecej robię nas najbardziej zdatnymi.

I. F.

TOWARZYSTWO KLUBÓW Kobiet Pracujących

Od dwóch lat egzystuje już w Warszawie mało jeszcze znane przez szerszy ogół „Towarzystwo Klubów Kobiet Pracujących“.

Statut T. K. K. P. określa jako cel wzajemną pomoc w podnoszeniu ogólnego poziomu oświaty i kultury oraz etyki, opartej na samopoczuciu godności ludzkiej, poszanowaniu praw człowieka i obywatela oraz na świadomości praw i obowiązków obywatelskich.

Drogą, którą dąży Towarzystwo do osiągnięcia tego celu, jest tworzenie narazie klubów kobiecych, potem budowanie własnych domów, w którychby kobiety pracujące a więc czyto robotnice, czy kobiety pracujące umysłowo, czy matki gospodynie domu mogły zbierać się, urządzać kursy naukowe, odczyty, zebrania, przedstawienia itp.

Zadaniem klubów jest również zakładanie własnych warsztatów pracy jak: szwalnie, pończoszarnie i t. p., urządzenie żłobków i ochronek dla dzieci, czytelni i bibliotek dla swoich członkiń itp.

Jednym słowem przejście całości kształtu życia pracującej kobiety na swoje barki, ułatwienie go i podniesienie przez zasadę wzajemnej pomocy i współpracy.

Wśród członkiń klubów niema tego, co uderza często w podobnych kulturalno oświatowych stowarzyszeniach, że są dwie jakgdyby kategorie członków, ci którzy organizują, uczą, prowadzą i ci co są uczeni, kierowani, używani do różnych prac i celów.

Gdy klub powstaje, każda zapisująca się członkini ma tak samo prawa, każda ma dać z siebie to, co dać może, każdy ma równe okowiazki.

Kluby tworzone są głównie w dzielnicach robotniczych i jednoczą w sobie albo kobiety pracujące w jednym zawodzie jak np. modystki, albo też mieszkanki jednej dzielnicy jak klub na Nowem Bródnie, na Pradze itp.



Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

„W Sie cji“ — Wesoły dramat w 5 aktach,
Jana Augusta Kisielewskiego.

Na sztukę Kisielewskiego patrzymy dziś już jako na rzecz historyczną, na rzecz, której się należy styl, właściwy epoce jej narodzin.

Przy każdej sposobności stwierdzać dziś musimy, żeśmy się zestarzelili bardzo, nie latami, a ogromem przeżyć potężnych i wstrząsających.

Od chwil, gdy powstawał „wesoły dramat“ Kisielewskiego, tyle upłynęło, nie wody, a krwi i łez ludzkich..

Patrzyliśmy przez ten czas na tragedje narodów całych, wijących się w mękach i wstrząsach, słyszeliśmy loskot padających tronów, widzieliśmy łuny pożogi i zapadanie się w otchłań starego świata. Nerwy nasze przywykły do wzruszeń mocnych, do walki na śmierć i życie, nawet do okropności wszelkiego rodzaju. I dlatego przema-

wia do nas prostota eposu Nibelungów np. a nie przemawia papierowy nieco dramat „pięknoduchów“ walczących z prozą pospolitości, z przewagą [filisterstwa... Przytem ta, dekadencja zaiste, słabość wysiłku z jednej i z drugiej strony!...

I wszystko takie dziś już inne! Dobroduszny filister ówczesny przemienił się dziś w grubego paskarza, paskarz w spekulanta o krokodylich zębach i tygrysiach pazurach...

A szalona Julka?...

Szalona Julka może dziś malować, ile chce, kochać się, ile chce... i mamy wcale słuchać nie potrzebuje; nikt się też nie zgorszy tem, że narysuje męski akt... chyba ktoś z głębokiej prowincji...

Nie wchodzę w to, czy to lepiej, czy gorzej, stwierdzam, że tak jest. I dlatego nie należało tych panien z epoki dekadentyzmu ubierać w obcisłe, krótkie sukienki.

Te w obcisłych i krótkich sukienkach są psychicznie bardzo różne od „tych z Boticellego.“

Jednym słowem jest ten dramat już „nie nasz,“ ale może stanowić bardzo zajmujące widowisko, jako dokument pewnej, zresztą krótkiej chwili w dziejach naszej kultury, chwili polskiego dekadentyzmu i t. zw. Przybyszewszczyzny i takich nieco sztucznych szamotań się różnych słabych i zwątlanych dusz, w bardzo słabych „sieciach.“ Należało tylko dać mu właściwą oprawę, odpowiednio wystylizować.

Sztuka grana była przez cały zespół artystów, bardzo poprawnie, bardzo inteligentnie.

Główna rola „szalonej Julki“ znalazła się w rękach p. Marji Modzelewskiej. Artystka ta walczyć musiała z żyjącem jeszcze w niektórych umysłach wspomnieniem kreacji Siemaszkowej.

P. Modzelewska ujęła rolę całkiem inaczej. Jej Julka była rozmarzonym, kapryśnym dziewczątkiem, często histeryzującym, a nie młodą lwicą, o nawpół jeszcze uśpionych instynktach, jak u p. Siemaszkowej.

Uroczą twarzyczką, wdzięk postaci, wielką inteligencją w grze p. M. sprawiły, że śledziło się z niesłabnącem zainteresowaniem wszelkie nuanse tej bardzo przemysłanej i subtelnie wycieniowanej gry.

Ale gra ta nie porywała, nie szarpała do krwi, jak gra Siemaszkowej.

W bardziej pastelowych jeszcze odcieniach utrzymany był poeta-dekadent, Jerzy Boreński. Rolę tę grał p. Janusz Warnecki bardzo dobrze, nie wnosząc jednak do niej nic nowego.

Niefortunnego „filistra,“ najpierw konkurenta, potem małżonka szalonej Julki, grał p. Samborski. I on miał za sobą współzawodniczące z nim widmo—Frenkla.

Wywiązał się jednak z zadania ku dostatecznej ucieście publiczności.

Wszystkie inne role w tej sztuce mają znaczenie podrzędne.

Premjerę, choć bardzo długą, przyjęto z entuzjazmem.

C.



„Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego.

Nowa powieść Żeromskiego ma budowę tryptykową, tak ulubioną przez wielkiego pisarza i już kilkakrotnie powtarzającą się w jego dziełach.

Pośrodku tedy jest kolorowy gorący obraz polskiego dworu i polskiej wsi, żyjącej po wojnie „dobrym” przedwojennym gatunkiem życia. — Ludzie tam po staro- mu umierają z cudownej miłości — tańczą do upadłego — piją, — raczą się życiem w sposób niejako biologiczny i samowystarczalny.

Ten środek tryptyku objęty jest dwoma „panneaux” o barwach posępnych.

W pierwszym — obraz rewolucji, którą główny bohater, Cezary Baryka przeżywa w Rosji — w drugim, obraz rewolucji, którą przeżywa w Polsce, sam w sobie pod wpływem wydarzeń w naszym dworze — i która prowadzi go w szeregi komunistów.

Czytając Żeromskiego wrażliwy czytelnik popada jakby w stan zakochania. Na razie nie jest się w możności osądzić tej emanacji powabów, jaka sączy się z każdego słowa. Nie jest to nawet zachwyt nad pięknem i doskonałością utworu. Jest to miłość, godząca się na wszystko, na usterki, na wady — na moralne i niemoralne uczynki swego ideału. Jest to niezwalczony czar, porywający do uniesienia wszystkie najgłębsze warstwy naszego temperamentu.

Lecz nakoniec po pewnym czasie myśl odrzucona przez oszołomienie uczuć — powraca i zaczyna szperać.

Jej dociekania w niczem nie naruszają emocjonalnej wartości dzieła Żeromskiego. Nie ujmą ani jednego promienia z blasku cudownego języka, jaki lśni tak samo w tej powieści, jak w dawniejszych. Nic też nie zmniejsza fenomenalnej zdolności Żeromskiego do wywoływania w nas emocji silniejszych niemal niż wzruszenia prawdziwego życia.

Żeromski, czarodziejski artysta na wielką miarę światową, pozostanie chlubą naszego pokolenia — gwiazdą najpierwszej wielkości — wobec najzuchwalszego skalpela myśli i krytyki.

Lecz dociekania te zwrócą naszą uwagę na niektóre osobliwości jego geniuszu — chciałabym powiedzieć — czyniące dzieło jego mniej doskonałym, niżby może być mogło — lecz czy ma się prawo tak powiedzieć o rzeczach stojących na tej samej wysokości?

Nikt też nie wie, czy bez tych osobliwości istniałyby wspaniałe zalety, które uczyniły z Żeromskiego tak nieodzowne zjawisko w dziejach artysty.

Osobliwość o której myślę dałaby się może wyrazić, gdyby rzec — że Stefana Żeromskiego jest za dużo na jednego człowieka.

To jest w jednej osobie wielki liryczny pisarz, ekstatyczny poeta miłości, natury, zamyślenia i obyczaju — a oprócz tego wielkiej miary inżynier — społecznik i reformator.

W innych czasach, a może i w innym kraju — ten drugi Żeromski działałby może na własną rękę — równoległe z Żeromskim artystą.

Lecz w naszej do niedawna tak niewesołej epoce stało się, że Stefan Żeromski, działacz i reformator techniki życia, nie znalazł miejsca i nie znalazł też dość siły w sobie, dość środków może, aby dzieło to urzeczywistnić. Wtłoczył je tedy w namiętne dzieło Żeromskiego artysty, dał mu rosnąć na jego gałęziach, w postaci splątanych gniazd jemioly — niweczających przyrodzony zarys drzewa — lecz przynoszących szczęście — i tak pełnych uroku.

Powieści Żeromskiego muszą być zawsze nabite patosem zagadnień, projektów, zamiarów tego pierwszego wielkoluda, tytana pracy — poszukiwacza najlepszych praw rządzących życiem zbiorowem.

Zagadnienia społeczne — oczywiście tak, jak wszystko na świecie posiadają swój ekwiwalent artystyczny. Gdy pierwiastek artystyczny jest istotnym pierwiastkiem życia, a jako taki nigdzie się nie przerywa. Jest ciągle i jest wszędzie.

Lecz zdaje mi się, że artystyczny ekwiwalent zjawisk społecznych leży tam, gdzie się one rodzą — w niewyrozumowanych faktach życia, w indywidualnych potrzebach i tęsknotach żywych ludzi. Żeromski ten współczynnik zawsze świetnie odnaleźć potrafi, — dość wskazać w tejże powieści „Przedwiośnie” — na niektóre epickie strony o rewolucji w Baku. Lecz to mu nie wystarcza. Sięga jeszcze tam gdzie artystyczny pierwiastek zanika, gdzie zaczyna się intelektualizacja, dyskusja — analiza — traktat.

Takimi miejscami w „Przedwiośniu” są wizje szklanych domów — rozprawy z panem Gajowcem, dysertacja przed portretami — rozmyślenia w cukierni nad polijantem — zebranie komunistów.

Zagadnienia w miejscach wspomnianych poruszone, rozrastają się już w osobne rozprawy, przestają wchodzić w rachubę jako czynnik artystycznej konstrukcji.

Te momenty pracy intelektualnej, które mogłyby być użyte na doprowadzenie budowy dzieła do ostatecznej artystycznej doskonałości — zostały tam użyte na rozepchnięcie jej wiązadeł.

Oczywiście, stojąc — o włos od docieklivej publicystyki — te wynurzenia obywatelskie zawierają przecieży tyle artysty — ile zawierać go musi każdy gest, każde wypowiedzenie się niepospolitego człowieka. Nawet najbardziej ściśle naukowe dysertacje nie są nigdy pozbawione tej reszty emocjonalnej i artystycznej — która czyni je wzruszającymi. — A cóż dopiero mówić o rozmyśleniach pisanych stylem i sercem Żeromskiego.

Dlatego raz jeszcze podkreślam, że nie wiem, czyli te rzeczy ma się zaliczyć na minus, czyli na plus jego wspaniałej działalności. Szkodzą one może budowie jego powieści (w szkodziu tej Żeromski nie jest odosobniony — nie ustrzegł się tego i Hamsun w swej scenie sądu z Błogosławieństwa ziemi, nie mówiąc już o Dostojewskim). Lecz z innych niż artystyczne względów nie szkodzą wcale ludziom — przeciwnie, dopomagają nieraz do rozbudzenia myśli społecznej i obywatelskiej.

Wykraczając jednak w sposobach obudzania po za to, co jest zadaniem artysty, Żeromski upoważnia do tego, że o jego utworach będzie się czuć na siłach mówić nie tylko jakiś znakomity krytyk i znawca artystyczny, ale każdy obywatel, któremu dobro kraju i ludzi leży na sercu. — I który zadał sobie doniosły trud, aby kilkakrotnie występować z rozpalającego biegu jego cudownej powieści i z entuzjazmem wkraczać w obrazy historyzoficznych i socjalnych rozmyślań jej autora,

Stefan Żeromski stawia w „Przedwiośniu” zagadnienie jaką ideję, jaką nieprzemijającą wartość twórczą przeciwstawia Polska „wiatrowi ze wschodu”.

Zagadnienie to i u Żeromskiego zapewne i w sumieniu każdego z nas rozrasta się do zagadnienia, co wogóle Polska reprezentuje wobec świata i — powiedzmy — Boga. Gdyż jak wiadomo, niepodległość, jakkolwiek byśmy się nią cieszyli, nie jest celem sama w sobie, lecz tylko punktem wyjścia.

Zagadnienie ideologicznego absolutnego uzasadnienia państwa Polskiego podejmuje nie pierwszy Żeremski. Podejmował je już z młodziej literatury Juliusz Kaden Bandrowski w „Generale Barczu,” posługując się jednak środkami zupełnie innymi.

Ciekawe jednak stwierdzić, że acz tak odległymi chodzący drogami, obaj ci pisarze nie do tak bardzo odległych doszli wniosków.

U Żeromskiego zawierają się one w zdaniu Gajowca:

„Gdy mnie kto w nocy napadnie, moją wtedy ideję jest — obronić się!”

U Bandrowskiego ideją tą są „ściśle chirurgiczne ramy” — Generała Barcza — „własny aparat do brania za twarz” — prokuratora Jabłońskiego.

Więc obronić się — więc zorganizować się na tyle, aby roztratowane jeszcze od wojny i niewoli społeczeństwo się nie rozsypało.

Czy to jest jednak ideja?

To jest konieczność życiowa — więc rzecz ważniejsza od idej.

Odpowiedź ta postawiona przez Żeromskiego może za słabo, gdyż pod postacią rozprawy — jest jednak w samej rzeczy odpowiednią, odpowiednią słuszną i pocieszającą.

Natarczywa młodość, dla której państwo polskie nie jest kimś ukochanym, cudem uratowanym od śmierci — lecz rzeczą zastaną, rzeczą, którą ona chce do gruntu reformować — natarczywa tedy młodość nasunie się zaraz z zapytaniem:

Obronić się i ustanowić ramy życia, żeby co? Tem przecież żyć nie można. Żeromski odpowiada na to, że nie o to idzie, jaką ideję marzyciel wydlubie ze swego mózgu, lecz o lepsze urządzenie rzeczywistego życia.

I na to dalsze pytanie już poprzednio, w tymże samym „Generale Barczu” dał odpowiedź Bandrowski — wydobyl ją w obrazie końcowym i w słowach Pycia, że wszystko potrzebne jest na to, żeby ludziom było coraz łatwiej szlachetnie żyć, i żeby żyć mogli coraz szczerzej.

I gdyby o te dwie odpowiedzi w praktyce życia dbała cała zbiorowość polska, to doprawdy nie byłoby nic więcej do życzenia. Żeby umiała na tej świeżo obronionej ziemi i wśród tych sztywnych nieco ram odnowionej państwowości istotnie urządzić życie dla wszystkich, uczynić je łatwiejszem — dla tych, dla których jest ono ciężkie.

Gdy będzie to umiała, wtedy doprawdy mniej nam już będzie szło o to, czyli to się będzie działo z idejowym krzykiem na cały świat, czy też bardziej pocichu, a skutecznie.

Dlatego też brzmiąca trochę retorycznie odpowiedź pana Gajowca jest o wiele bardziej wyrazem dziejowej twórczej mądrości — niżby się to zdawać mogło tym, którym, aby użyć słów Norwida, więcej chodzi o sukces, niżeli o zwycięstwo.

Marja Dąbrowska.

* * *

„Zew Życia” Jack’a London’a w tłumaczeniu St. Kuszelewskiej. Wyd. „Ignis” 1924 r., Warszawa.

Idzie ten głos z oddali, jak pomruk niepokojący, groźny, potężniejsze, przewala się w druzgot, łamanie, cały skupia we wściekłych ślepiach, kły zażarte w pianie ukazują, każdy atom powietrza wprawia w szalony wir grozy, wreszcie przechodzi w nieokreślne prawycie, zrodzone przez odwieczny Zew Życia.

W momencie, gdy ten wyzwolony głos dzikiej ekstazy, stwierdza zenit zwierzęcia, autor łamie swe pióro. Cóż więcej może tu mieć do powiedzenia człowiek?

Pierwotność złamała wszelkie zapory — rozpoczynają się rządy dzikości.

Ku tej potężnej prażycia wiedzy Bucka — Los.

Syn St. Bernarda i owczarki szkockiej, wspaniały, majestatyczny Buck, wychowanek słonecznej doliny Santa-Clara, rozważny sybaryta, rozumiejący, co honor i uczciwość, nagle przez ręce złodziejasków dostaje się w kraj świerków, lodowców, śnieżnej martwicy, w ręce zgrubiałe od niegarbowanych skór, pod rozkaz oczu energicznych i bezwzględnych, w zgrają wyjącej tłuszczu, neufoundland’ów, szpiców, wilczarów i wilków.

Po Północnym Szlaku Alaski, zrodzonym przez żądę złota, gna zaprząg Bucka listy i depeche ze świata kultury w pustynie śniegu.

Wokoło śnieg i mróz, samotne świerki nad przełęczami, z oddali groźne wycie wilków i gdzieś w zaprzęgu pary za parami napół dzikich psów ciągną pod rozkaz bicia obciążone płozy. I znowu pustka i głusza. Tu każde urwisko, każdy łachman życia, każdy nieopogrzebany szkielet głosi pean zwycięstwa dla siły, wzgardy dla Słabości.

Tu rządzi walka o byt, walka w której kły się zwierają z kłami, bluzga krew pokonanego, a szarpane wełniste gardziele wydają chargot śmierci.

Buckie był silny. Ambicja szlaku, wrodzona, inteligentna, instynkty, przekazane przez rasę, a rozbudzone w wizjonerskim śnie o włochatym pracźlowieku, który tutaj, gdzie mróz siecze ciało biczami ognia, a płonące ślepi wilków grożą każdej chwili zagładą, jeden ma możliwość trwania i dlatego jawi się w wyobraźni Bucka, wreszcie we wszystkim namiętne ukochanie zabijania, zarówno w martwocie krajobrazu jak i w śmiertelnych zapasach zwierzęcych, to wszystko rozrywa w nicość narzuconą Buckowi przez miękkie południe, kulturę manier i skrupulatność sumienia i wyzwala jego dziką istotę.

Drogą zmagania bez granic, straszliwych dni i nocy znoju, u kresu okrutnego wysiłku Buck dochodzi do potęgi. Rozwijają do granic doskonałości spryt, chytryść, rozwagę, żądę panowania, namiętność walki.

Zwycięża mróz i fizyczną przemoc przy-marzniętych płozów, zwycięża najzjadliwszego swego wroga drapieżnego Spitz’a.

Staje na czele zaprzęgu, jako jego przewodca, wzbudza podziw ludzki dla swej dzielności i siły.

Jest mocarzem.

Los odrywa wreszcie Bucka od pierwszego i ostatniego człowieka, którego tam nad

ściętą lodem rzeką ukochał szczerem, potężnym przywiązaniem.

Ostatnie więzy ze światem ludzkim zerwane.

I wtedy porywa Bucka tajemniczy, wielki głos puszczy i braterskie wycie wilków. Człowiek będzie mu odtąd wrogiem, któremu z rozkoszą rozedrze gardło, by upić się wonią świeżej krwi.

„Zew Życia” jest wart przeczytania. Jest prawdą o zwierzęciu. Zwierzę żyje tu swoim odrębnym życiem. Stworzone jest samo dla siebie. Ma swoje przeznaczenie. Jeżeli wchodzi w nie człowiek, łamie je.

Nie chodzi autorowi ani o efekt scenarjusza, ani o efekt samego słowa. Są to dla niego walory drugorzędne i może dlatego traktuje je czasami trochę po macoszemu. Krajobraz jego jest przeważnie szkicem, typy ludzkie zaznaczone kilku sztychami. Na pierwszy plan wysuwa się natomiast prostota i jasność, jako największe zalety stylu, dążenie do prawdy — jako najgłębszy wysiłek myśli.

I dlatego Buck, Buck — arystokrata, Buck — walczący, Buck — zwycięzca jest podpatrzony w najgłębszym nurcie swego życia, a rzecz o nim jest arcydziełem realizmu.

Zresztą Buck porywa nas nie tylko prawdą o sobie, ale może przede wszystkim swoją wielkością.

Ta wielkość to zasadniczy rys twórczości Londona. Autor opiewa ją zarówno w życiu zwierzęcia jak i człowieka. Życie wielkości, ciasne, mizerne, dręczone „opiniami,” a przykrojone według wzoru „powszechności,” pozbawiające jednostki wszelkiej odrębności i prawdziwego bujnego życia za cenę zachowania naiwnych przesądów, których są uciemionymi niewolnikami — służy mu najwyżej, jako relief. On rozumie twórczą rozkosz życia i ku niej wie dzie swoich bohaterów. Jakiś gigantyczny rozmach, szaleństwo „kochanków bogów,” ogromna wszechstronność istnienia są prądem, w pęd którego rzuca London stworzoną przez siebie istotę, chłoscze ją, każe jej iść przez wysiłek, walkę, przebój, zмага się z najokrutniejszymi cierpieniami, by wreszcie w zachwycie wyrzec mogła:

„Pod ciosami Losu
Głowa ma krwawi, ale się nie schyli!”
Henley.

Słowa te zarówno ma prawo wypowiedzieć pies—Buck, jak i człowiek—Martin Eden, — ma je prawo wypowiedzieć każdy, kto umie walczyć o swoje przeznaczenie.
H. W.



PANTOFELKI DZIECINNE

Pozostałe resztki aksamitu, sukna, białej piki, lub barchanu zużytkować można na pantofelki i buciki dla małych, a nawet i większych dzieci. Dla zupełnie małych dzieci robi się buciczki z materiałów do prania, najlepiej białych, podszewki delikatne z grubej flaneli, pokrytej tym samym materiałem co bucik. Dla starszych już chodzących dobrze dzieci podszwa musi być odporniejsza, czyli trwalsza, robimy ją zatem z grubego wołoku (użyć można starych kapeluszy filcowych), nakładamy poczwórną zlepioną tekturą, obciągamy materiałem (rys. 5) i zaopa-



Rys. 2

trujemy wyściełką. Żeby materiał na podszwie nie zdarł się zbyt prędko można ją podszyc warkoczami splecionymi z grubego sznurka, lub nawet gałganków wołokowych, zaczynając od środka podszwy, musi jednak dziecko już bardzo pewnie chodzić — inaczej będzie się łatwo przewracało.

Pantofelek zaczynamy kroić od podszwy, potem przykrawamy cholewkę z materiału i podszewki, dodając na szwy. Cholewkę z tyłu trzeba zeszyć i szew rozstębnować, wkładając dla sztywności między podszewkę, a materiał z samego tyłu kawałek grubego, giętkiego



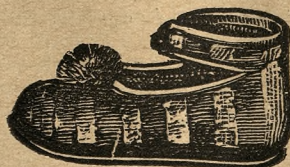
Rys. 1

bristolu. U góry albo zakładamy materiał i podszywamy go podszewką, albo sfastrygowawszy materiał z podszewką obejmujemy brzeg tasiemką dobraną do koloru pantofelków.

Mając przygotowaną cholewkę, którą jeśli jest sukienna można wyhaftować kolorowemi jedwabiami, przystępujemy do połączenia jej z podszewą.

Można to robić dwojako, albo przyszywając na płask stębnówką, grubą igłą przyłożony wierzch do podszwy, albo zszywając z wewnątrz okrętką i odwracając po zszyciu. Wtedy należy dobrze rozdrapać szew i nakryć go miękką wyściełką, trochę szerzej krajaną jak podszwa. Szyjąc trzeba uważać żeby nie zatracić okrągłości fasonu i nie porobić kantów,

Pantofelki sukienne (rys. 1) są bardzo użyteczne jako pokojowe, lub ranne, naśladowują w zupełności tak bardzo noszone zakopiańskie, są przytem miękkie i ciepłe i dziecko



Rys. 4



Rys. 5

łatwo samo włożyć je może na nóżki. Buciczki rys. 2) dla zupełnie małych dzieci zrobione są z białej piki, lub flanelki, haftowane niebieskim jedwabiem i nawleczone niebieską wstążeczką, którą związuje się bucik.

Pantofelki (rys. 3) również z piki, obdziergane u góry i związane na kokardkę koloru tego co bawełna do dziergania.

Pantofelki (rys. 4) dla starszych dzieci zapinane na guziczek zrobić można z materiału wełnianego z ciepłą podszewką. Krojąc wyściełki trzeba zawsze uważać, żeby były szersze od podszwy.



Rys. 3

Tym samym sposobem robić można pantofle do gimnastyki dla starszych chłopców, z mocnego brązowego płótna na podszwie zrobionej z grubego sznurka sztywnym ściąganiem, prostym ściąganiem, oczko ściśle w każde oczko. Sznurkową podszewkę przyszywa się do wierzchu z płótna i wykłada pantofel miękką, grubą wyściełką, obciągniętą z wewnątrz tym samym płótnem co pantofel.

Formy wszystkich wyżej pokazanych pantofelków podajemy na tablicy krojów. Rys. 1 wielkość 31, rys. 2 i 3 dla małych dzieci, rysunek 4 wielkość 25.

LIST Z PARYŻA

Już zaczął się Rok Nowy! Trudno wprost pojąć, jak czas szybko upływa. Zdawać się mogło, że w takim centrum jak Paryż, mija jeszcze prędzej, niż gdzie indziej.

Wszystko się do tego przyczynia: życie niezmiernie aktywne, tempo szybkie, gwałtowne na wszystkich polach pracy i przyjemności. Zaledwie zdążyło się zwrócić uwagę na jakąś rzecz ciekawą i aktualną, a już ustępuje ona miejsca nowym, aktualniejszym wrażeniom.

Ta ciągła zmiana jest specjalnie charakterystyczna w świecie mody.

Oto sezon wielkoświątecznych recepcyj, balów, teatrów i t. p.

Zdawałoby się, że wieczorowe i balowe toalety są zupełnie na czasie. Tak, ale tylko dla niewtajemniczonych, bo jeśli zajrzymy do któregoś z wielkich salonów mód, przekonamy się, że zimowa kolekcja jest już dawno wyprzedana, rozproszona na cztery strony świata, że się już wogóle o niej nie mówi, i że jedyną rzeczą, jaka interesuje świat mody, jest kolekcja „démie saison,” a raczej kolekcja wiosenna na rok 1925.

Trudno jednym rzutem oka objąć całokształt powstającej mody, ale pozwólcie mi powiedzieć parę słów o pewnych radykalnych zmianach, które łatwo przewidzieć komuś, kto śledzi zbliska za ewolucją mody.

Już w styczniu dadzą się zauważyć pewne zmiany, w sylwetce wyrafinowanej elegantki Z rozmaitych źródeł słychać, że wąska dotąd przesadnie suknie, ma ustąpić miejsca szerszej, swobodniejszej. Nowe modele będą miały klosze, marszczenia, fałdy, plisy, — jednym słowem wszystko co może dołowi sukni dodać szerokości i swobody ruchu. Góra sukni pozostaje gładka, z wyższym lub niższym karczkiem. To wrażenie karczka będzie otrzymane przez odpowiedni krój, przez umieszczenie galonu, wreszcie, przez połączenie dwóch różnych materiałów. Ta linja sprowadza nas do czasów Dyrektora, który stanowczo wywiera na modę coraz większy wpływ.

Temu stylowi zawdzięczamy również rozszerzenie linii ramion, którą osiąga się przez specjalny krój: wszywa się rękawy niżej niż ramię, co przy bardzo obcisłych biodrach, wygląda nader wykwintnie.

Do bardzo wdzięcznych fantazji należą również draperje, które po trzech latach zapomnienia, wracają tak zmienione, że trudno nadać im tę samą nazwę. Szeroka, nisko na biodrach drapowana materia, symuluje pas bajadery i trzyma liczne, bogate fałdy marszczonę falbany. Pas bajadery, zaznaczający śmiało kształty! Tak jest, bo cóż może razić w toalecie prawdziwie wyrafinowanej kobiety i czy wszystko nie jest dozwolone, a nawet piękne i dystyngowane u prawdziwej, rasowej Paryżanki...

Rodzona Paryżanka! Ileż elegancji w tych dwóch słowach, ileż fantazji, szyku, a zarazem tradycją przekazanej skromności! Być kobietą i mieszkać od urodzenia w Paryżu... Oddychać od dzieciństwa atmosferą dobrego gustu, przyglądać się stale najwyższym wyrafinowaniom elegancji, śledzić za wszelkimi zmianami, pożądać przepychu; później stosować do samej siebie i do innych bezwzględnie rutynę zdobytą przez długie lata, przejść ogień krytyki, walczyć stale z potężną konkurencją — jednym słowem żyć w Paryżu. — Cóż za szczęście! Paryż, — z jego wielkomięską gorączką, Paryż — źródło wiecznej radości i wiecznego wysiłku, — Paryż — otchłań o niepojętym uroku...

Sekwa.

PANI SWEJ POSTACI..

Na półmrok sceny, rozświetlony dyskretnie przez seledynowy dzwon lampy, pada blask! Ciepła w kolorze, strojna, świetna, pełna wdzięku zjawa uderza w dzwon śmiechu i lekki swój płas, po serc ludzkich powierzchni, zaczyna rozwinięciem skrzydeł.

Motyl czy kwiat, co kielich swój ku słońcu otwiera? Czy poprostu kobieta pełna czaru, wdzięku i pewna uroku, jak od niej idzie.

Stopy, w srebrną misternego kształtu lamę ujęte, przezroczy jedwab pończoszek i szatka! Wszystkie dzisiaj, najmodniejsze stroje, to — szatki. Równe, proste, krótkie odsłaniają wdzięk pięknych w linii nóg. Cały przepych tych sukien, to hafty, pióra, fantazyjne treny, skrzydła z przezroczycy tkanin i miljon, najrozmaitszych z tego wynikłych kombinacji.

Toalety Pani Przybyłko-Potockiej w sztuce „Pan swego serca,” granej w teatrze Małym są ostatnim krzykiem mody, symfonią barw i linii, rozkoszą dla oka i wyrazem gustu i kultury tej, która je nosi. W przeciwieństwie do „Pana swego serca,” który w ostatnim akcie kapituluje — Pani Przybyłko-Potocka włada sobą. Od początku do końca zewnętrzna jej istota jest w linii, w barwie wzorowa i estetyczna.

Akt pierwszy każe nam podziwiać suknię o pięknym, ciepłym różowym tonie, bogato srebrem powyżej kolan haftowaną z prześlicznymi skrzydłami z różowej gazy.

Oszyte strusimi piórami w kolorze sukni, zależnie od ruchu rąk otwierają się do lotu, lub opływają całą postać miękkim zwiewnym płaszczem.

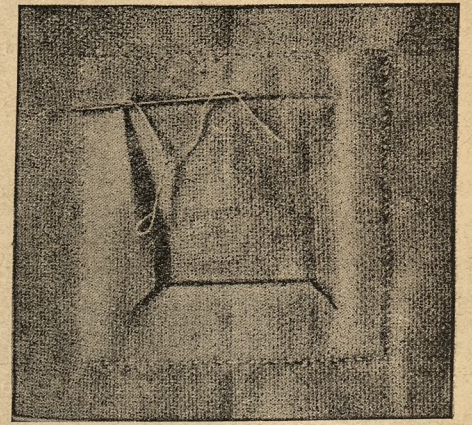
Akt drugi — w buduarze pięknej pani. Suknia domowa? wizytowa? wieczorowa? któż pojmie, któż odgadnie!

„Fourreau” koloru wyluskanego migdała. Proste, gładkie. Jedyną ozdobą sznur pereł, pośrodku, między owalem wycięcia, a piersiami, kłamrą z drogich kamieni ujęty i do jedwabiu sukni przypięty. Na to niedbale zarzucony, z przezroczy koronkowej tkaniny, złotem przetykany, leciutki płaszcz kłoszowy, oszyty puchem białych merabutów u szyi, rąk i trzykrotnie na dole. Nogi — zgodnie z przykazaniem — jedwab i lama tonu sukni.

Akt trzeci — bogaty płaszcz ze złotej brokateli, okładany futrem, podbity szkarłatnym aksamitem. Suknia z czarnych dżetów, strojna ognistymi kwiatami, które formują dżety ponsowe, odpowiednio z czarnymi mieszane przy wyszywaniu. Ślicznym wykończeniem i ozdobą jest luźno puszczone szmat gazy szkarłatnej wczepiony w serce jednego z kwiatów, zdobiących piersi, a jak strumień ognisty, wijący się wzdłuż całej postaci. Czarne jedwabne pantofelki na szkarłatnych obcasach i — jedyny dysonans — białe jedwabne pończochy, które rażą i psują wyrazistą piękną całość.

Od nas wszystkich, kobiet, należy się pani Przybyłko-Potockiej niezaprzeczona wdzięczność. że raz jeszcze przypominała nam i światu, o głębokiej prawdzie przysłowia: „Ce que femme veut Dieu le veut.” Jeżeli jednej z nas dozwolonem jest zatrzymać w biegu czas i czar swej postaci wydrzeć jego okrucieństwu, tak, jak świadczy o tem zewnętrzność pani Przybyłko w „Panu swego serca” — jeżeli jedna? czemu i więcej niema pokusić się o zadookumentowanie czynem słów: — „Chcieć to móc.”

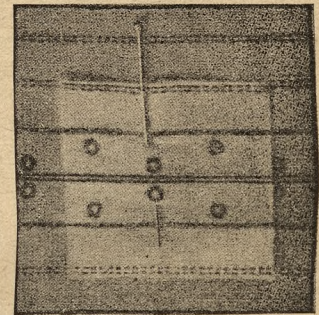
D.



(Rys. 1)

O REPERACJI

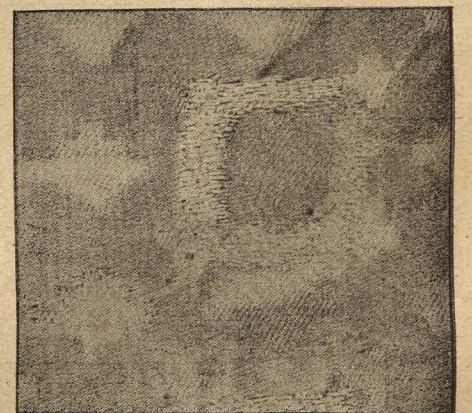
Cerowanie, łatanie! Na pewno wyda się niejednej z moich czytelniczek śmiesznym pisanie o takich przeważnie pogardzanych robotach. Co innego pisać o sukniach, pięknych strojach i modnych kapeluszach, ale o takiej prozie życia! Nie przeczę że miłsze są tamte tematy, czy jednak pożyteczniejsze? Dobrze i eleganko ubranych kobiet widzimy bardzo dużo, ale jak mało ma



(Rys. 2)

choćby pojęcie nie tylko o tem jak coś zreperować samej, ale nawet jak wskazać osobom przeznaczonym do tej pracy, jak trzeba prawidłowo i sumiennie reperować. Obecne ciężkie czasy uczą nas oszczędności, więc oszczędzajmy gdzie i na czym można, nie szcędząc tylko pracy naokoło siebie.

Staranny wygląd bielizny reperowanej i jej trwałość zależą przedewszystkiem od użytych na ten cel materiałów. Płócienne



(Rys. 3)

ceruje się nitką wyciągniętą z nowego płótna, cieńszego jak to, które się ma cerować. Do batystu używa się nitkę wyciągniętą konieczną z nowego batystu, to samo stosuje się do grubszej, tak bardzo dziś używanej nansukowej bielizny. Przy wstawianiu łąt uważać trzeba na grubość i gatunek dobranego materiału, na kierunek nitki w przykrawianych i dopasowywanych kawałkach a także na trwałość materiału, z którego się je kraje. Starego używać nie warto, bo szkoda roboty, zupełnie nowego nie można, bo jest: twardy i nie ustępliwy, a po praniu zbiega się, robiąc z najtroskliwiej dobranej łąty, krzywą i nieforemną. Najlepiej jest szyjąc pościelową, lub osobistą bieliznę schować skrzętnie wszystkie resztki, a nawet kupić więcej materiału, niż potrzeba na razie, aby później, zeprawszy go używać do reperacji. Stółowinę, skoro cerowanie już nie wystarcza, łąta się materiałem o podobnym deseni i gatunku. Nie mogąc dobrać inaczej trzeba pociąć serwetę od tuzina.

Dla wszycia łąty, którą to robotę wykonuje się zawsze w rękę, przy cienkiej bowiem wykwintnej bielinie użycie maszyny do reperacji jest niedopuszczalne, bada się, rozciągając w dwóch rękach sztukę przeznaczoną do reperacji jak daleko jest ona słaba. Odnacza się równiutko, podług nitki miejsce do podszycia, nie wycinając go pod żadnym pozorem, podkłada się kawałkiem odpowiednio, podług wyżej udzielonych wskazówek dobranego materiału, gęsto fastryguje środkiem na krzyż i brzegami, tak aby po zdjęciu fastrygi wszystkiego materiału nie było ani mniej ani więcej jak potrzeba, podszywa się zakładając wąsko brzeg łąty pod spodem, cienką igłą i nitką, jak delikatny obrębek, następnie wycina się podarty wierzchu materiału, zostawiając tyle tylko z brzegu ile na podwzięcie potrzeba i nacinając kanty, aby zgrabnie w robocie wyszły. (rys. 1).

Lepiej jest wszyć większą łątę niż zostawić naokół stary i przesiany materiał, zawsze tylko bardzo uważać trzeba, aby była foremna, pamiętając, że nawet łąta z pod kobiecej ręki powinna wyjść estetycznie. Przy reperacji męskiej kolorowej bielizny zwrócić należy uwagę na deseń, aby paski czy kropki nie miały się i dobrze pasowały (rys. 2).

Trudniejszym jest wcerowanie łąt w obrusy i serwety. Starannie bardzo trzeba dobrać deseń, kładąc kawałek przeznaczony do wcerowania tak, aby doskonale wchodziła nitka w nitkę, a zachodził na ctm. dalej, jak podarte miejsce. Przy fastrygowaniu łątkę należy ją wcerować z pod spodu nitką wyciągniętą z płótna, lub tego samego materiału, tak aby z wierzchu wyglądała na skazę fabryczną (rys. 3). Najłatwiej jest reperować bieliznę damską. Cienką ceruje się nitką wyciągniętą z batystu a przy dziesiętnej modzie mereżek i haftowanych dziurek z trochę pomysłowości zrobić można z łątki ozdobę a nie zle konieczne. Grubszą nansukową bieliznę reperuje się na maszynie, uważając aby łąty były symetryczne i miały pozór powstawianych umyślnie boczków, klinów lub ramiączek.

Cienkie pończochy ceruje się dobrze dobranym jedwabiem, lub pojedynczą nitką przędzy w tym samym kolorze. Oczka pospuszczone łąpie się specjalną igielką. Igielki takie, dla wygodny naszych czytelników sprowadziliśmy z Parwza i są one do nabycia w Administracji „Bluszczu.”

Skarpetki, zależnie od ich grubości ceruje się pojedynczą, a najwyżej podwójną nitką przędzy odpowiedniego koloru, uważać tylko trzeba, aby zakręcając zostawić małą pętelkę, inaczej bowiem w praniu bawełna się ściąga i wydzierają się jeszcze większe dziury.

J. S.

KORESPONDENCJE

J. N. D. Wzory do kopjowania dołączane do „Bluszczu” przenosi się na materiał w następujący sposób: wzór kładzie się na płótnie stroną druku i po lewej stronie prasuje się żelazkiem mocno przyciskając. Żelazko musi być bardzo gorące. — Jeżeli się pani nie udało przeprasować deseni to na pewno żelazko było za mało rozgrzane.

Na życzenie pani, deseń chętnie możemy odprasować po otrzymaniu materiału.

Kurs haftu kolorowego organizuje w końcu stycznia Sekcja Przemysłowa Koła Polek — przyjmuje zapisy między 3 a 5 w lokalu Koła Polek — Krak. Przedmieście 2 (pałac Staszica). Odpowiedz p. Elżbiety umieścimy w następnym numerze.

P. Zofii G. z Garwolina.

Portjery na szarem płótnie radzę zrobić w następujący sposób: u dołu i z boku założyć obręb szeroki na 5 do 7 ctm. i obrócić go mereżką, w odległości 4 ctm. od obrębu dać pas ozdobnej mereżki w pajęczki, odstąpić 4 ctm. i wyszyć szlak bawełną D. M. C. № 5 „coton perlé”. jest to jedyna, która się nie wypiera, a przytem ma śliczny połysk i kolory. W odległości 4 ctm. od szlaku zrobić znowu szeroką mereżkę w pajęczki i w tym samym odstępie wąską, Tak samo na lambrekinie. Szerokość i kolory szlaku dowolne, jak również deseń. Można zastosować który ze szlaczków podanych w № 2 „Bluszczu”.

Drugi sposób mniej pracowity: Obręb z mereżką, w połowie portjery szeroki szlak wyhaftowany w poprzek, albo motyw — to samo na lambrekinie. Mereżki najlepiej obrabiać nitką wyciągniętą z płótna, na którym się je robi. Szlak, lub motyw może być zrobiony haftem płaskim, albo łańcuszkiem, zależnie od deseni, Wełną, albo włóczką nie radzę wyszywać, bo każda puszcza i mszy się w praniu.

O prasowaniu sztywnej bielizny pomówimy obszernie w następnym numerze „Bluszczu”.

Q

Redakcja „Bluszczu” odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. adresowane do redakcji działu praktycznego.

Przepisy gospodarskie

WĘDLINY LITEWSKIE.

Na całych bodaj kresach wschodnich wyrabiane wędliny odznaczają się nietylko wyborym smakiem, lecz i niezwykłą trwałością, której zupełnie brak wędlinom byłej kongresówce.

Najbardziej smakiem do litewskich zbliżone są wędliny pomorskie, które w obecnej chwili w Warszawie poważną robią miejscowym konkurencję. Sekret trwałości leży nietylko w sposobie solenia i przyrządzenia wędlin, lecz głównie w sposobie ich wędzenia.

Dym, w którym się wędzą wędliny, powinien być zupełnie ciemny, to jest nie powinien pochodzić z palącego się płomieniem ogniska, a z zaledwie tlejącego i kurzącego się jałowca, wilgotnych drzew sosnowych lub jodłowych, piłowin wilgotnych i t. p.

Wędliny powinny być zawieszane bardzo wysoko, na cztery lub pięć metrów nad ogniskiem. Nie należy ich wędzić zbyt gwałtownie, parę godzin dymienia rano i tyleż wieczorem wystarczy zupełnie, resztę czasu mogą wisieć i obsychać bez dymu. Wędliny powinny być zawieszane w komi-

nie lub wędzarni w dzień jasny, pogodny, aby przed zaczęciem właściwego dymienia dobrze obeschły, w wielu miejscach obsuszają je nawet przez dni parę na wietrze, co bardzo na ich trwałość wpływa.

Dymienie większych sztuk jak szynek, łopatek, głowizn, może trwać od 2 do 3 tygodni, mniejsze sztuki jak pojedwice, salami, balerony mają dosyć po dwóch tygodniach. Kielbasy, ozory i połcie słoniny (wędzona jest znacznie trwalsza od solonej i bordzo ją, szczególnie na letnie zapasy, polecam) po tygodniu już są dosyć uwędzone.

Ostatnie zimowe bicie wieprza ma zwykle miejsce przed zapustami, kiedy szmalc świeży znajduje użycie przy wyrobie pączków i faworków, kielbasy suszone i kiszki wszelkiego rodzaju są spożywane w podwójnych ilościach i kiedy się przyrządza szynki i inne wędliny na święta Wielkanocne. Na Kresach Wschodnich robi się w tym terminie zapasy wędlin na rok cały, gdyż wiatr marcowy ma im podobno specjalny smak i trwałość nadać. Wypróbowanymi przez lat wiele sposobami przyrządzenia wędlin litewskich chce się więc z Czytelniczkami „Bluszczu” przed zapustami podzielić.

Szynki. Aby szynki były smaczne i kruszące, należy je robić z młodych sztuk — roczniaków, szynki te chociaż mniejsze są bardzo mięsiste i mają cieńszą słoninę, aniżeli ze starych wieprzów ukarmianych na słoninę i sadło.

Na 100 funtów mięsa, bierze się soli uprażonej, aby wszelką wilgoć straciła, pięć funtów, salerty 5 funtów, listków garść dużą, pieprzu zwykłego i ziela po 5 funtów, kolendry 10 funtów, pół funta cukru, wszystko to ma być grubo utłuczone i dokładnie wymieszane; kto lubi, może dodać parę główek czosnku, nie wszyscy jednak ten ostry zapach znoszą.

Po rozebraniu wieprza, szynki jeszcze ciepłe nacierają się tą mieszaniną mocno i rozkładają na łąwkach, aby zupełnie przestygły.

Do baryłki, w której się ma solić szynki, wysypuje się tą samą mieszaniną, poczem układa się szynki możliwie szczelnie, przesypując każdy rząd solą z aromatami, mięgły rzędami należy wrzucić kilkanaście sztuk goździków i gałązek majeranku. Gdy wszystkie szynki ułożone, osypać je resztą soli i przycisnąć denkiem i kamieniem. Potrzymać tak dwie doby w umiarkowanie ciepłej izbie, poczem przełożyć to co było na górze, na dół, aby wszystkie się jednako przesoliły i wynieść do chłodnej, lecz nie mroźnej spiżarni. Co trzy dni należy je przekładać, zawsze przyciskając mocno kamieniem aby rosół wszystkie sztuki jednakowo przejmował.

Po trzech tygodniach solenia wyjmuje się je, wywiesza na wiatr marcowy na dni dwa — trzy i zupełnie już dobrze obsuszone zawieszają w kominie lub wędzarni. Nie należy nigdy palić ogniska dzień cały, lecz tylko po dwa razy na dzień przez godzin parę, uważając przytem pilnie, aby nie było dużego płomienia, lecz tylko lekkie tlenie gałęzi. Mieć zawsze na pogotowiu wilgotne opilki, któremi można zbyt wielki ogień stłumić.

Szynki tak wędzone można przechować rok cały, latem jednak należy je zakopać w zasieku z żytem lub ułożyć w duże beczki, przekładając sianem lub suchym chmielem, a to dla ochrony przed robactwem, które w czerwcu często na nie napada. Gdyby zaczęły pleśnieć, należy pleśń otrzeć wilgotnymi chustami, a szynki zleżka obwędzić przez godzin parę, lub też tylko osuszyć w cieniu na powietrzu.

(c. d. n.)

Pani Elżbieta.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 3.

58. Suknia z zielonej wełny, przybrana ciemniejszym aksamitem.

59. Suknia z brązowego crepe marocain, przybrana plisą z układanego w drobne fałdki atlasu.

60. Suknia z miękkiej wełny koloru szaro-ceglastego, przybrana wyszyciem w ciemniejszych tonach i złotą nitką. Fason na tablicy kroju.

61. Bluzka z sukienka fraise. Krawat czarny.

62. Bluzka z białej flaneli, lub sukienka. Wyszycie z kolorowej włóczki

63. Suknia z fioletowej wełny, przybrana czarną taśmą jedwabną.

64. Kostjum do sportów zimowych. Spódnica trykotowa w pasy, żakiecik i szal z grubej, włochatej wełny, wyszuty kolorową włóczką.

65. Kostjum do sportów zimowych. Spódnica z boku układana w fałdy, bluzka z włochatego trykotu.

66. Paltocik dla chłopczyka od lat 7 do 10 z angielskiego materiału w prążki. Kołnierzyk karakułowy.

67. Płaszczek dla chłopczyka od lat 4 do 7 z miękkiej piewskowej wełny, przybrany białym futerkiem. Fason na tablicy kroju.

68. Szlafrok z ponsowej flaneli, przybrany flanelą deseniową. Fason na tablicy kroju.

69. Szlafrok z deseniowego materiału, przybrany gładkiem sukienkiem.

70. Czepeczek z białej organdy, wyszuty czarnymi i wiązany na czarną aksamitkę.

71. Ubranko dla chłopczyka od lat 5 do 8 z granatowej wełny. Kołnierzyk biały.

72. Sukienka dla dziewczynki od lat 5 do 7 z ponsowej flanelki, wykończona czarnymi pliskami. Kokarda z czarnej aksamitki.

73. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 9 z wełny koloru bordo, przybrana ciemniejszym aksamitem i wąskim galonikiem.

74. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 13 z brązowej wełny. Kamizelka z sukienka piaskowego układanego w fałdki. Pasek lakierowany. Fason na tablicy kroju.

75. Suknia z granatowej gabardiny, przybrana pasem haftowanym na popielatym suknie.

76. Laufer na szarem płótnie — haft kolorowy Wielkość 36x108 ctm.

Ponieważ wiele czytelniczek zwraca się do nas z zapytaniem gdzie można dostać tiulu genueńskiego, o którym pisaliśmy w Nr. 1 „Bluszczu“, a tiul ten jest na razie w Warszawie wyczerpany, sprowadzamy go z Paryża i za dziesięć dni będzie do nabycia w Administracji „Bluszczu“.

UWAGA: Powiększone wzory robót umieszczonych w Dodatku Mód można nabywać w Administracji „Bluszczu“ po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

P. Z. W zimie myć włosy na sucho proszkiem „Florentin“, który doskonale odtłuszcza włosy i oczyszcza skórę. Aby zapobiec wypadaniu włosów i usunąć łupież, radzę stosować „Tetral“, który działa wprost cudownie. Już po paru użyciach „Tetralu“, swędzenie głowy ustępuje i łupież ginie, a włosy przestają wypadać.

Chcąc się podobać. Przy wągrach i tłustej cerze nie można stosować żadnych tłustych kremów. Jeżeli więc Pani chce się pozbyć wągrów, to radzę twarz myć na noc w ciepłej wodzie otrąbkami Abaridowemi, i wcierać cokolwiek nietłustego kremu Abaridowego. Jeżeli Pani używa pudru, to przypudrować twarz tym-że pudrem. Następnie wśród dnia, nacierać twarz kilka razy dziennie płynem „Pureol“, i przypudrowywać pudrem Abaridowym.

Pani Loli. Zapobieganie Pani tworzeniu się zmarszczek stosując krem Abarid, który odżywia tkanę, rozprowadza zmarszczki i zapobiega tworzeniu się nowych. Przytem myć twarz otrąbkami Abaridowemi i pudrować pudrem Abaridowym.

Mm. Ercèdes.

Środki tu wymienione są do nabycia w pierwszorzędnym perfumerjach i drogerjach. Skład główny: „Perfection“, Szpitalna № 10.

Redakcja i Administracja „Bluszczu“, przenie-
siona została do domu własnego „Koła Polek“:
Krakowskie Przedmieście 99 (plac Zamkowy),
tel. 239-40.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, **OGŁOSZENIA**
L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S UNGRA—Senatorska 12. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“
Długa 9 i I. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZU“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA

Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239 40.



KOMUNIKAT

BIURA PRASOWEGO

DLA SPRAW KOBIECYCH



W A R S Z A W A

17 STYCZNIA 1925 r.

KU CZCI P. WANDY UMIŃSKIEJ

Dn. 11 stycznia w mieszkaniu p. Umińskiej przy ul. Widok № 19 zebrała się garść przyjaciół sędziwej pracownicy na niwie oświaty, by złożyć jej dzięki za bezcenny trud całego żywota.

Zebrali się przedstawiciele instytucji oświatowych i społecznych, włościanie z różnych stron kraju, młodzież obojej płci, z których wielu zawdzięcza p. Umińskiej rozbudzenie w nich iskry ducha i pomoc w nauce, w studjach wyższych, sporo inteligencji, dawnych działaczy i działaczek.

P. Scheller zagałł uroczystość serdecznym przemówieniem, potem w imieniu Macierzy szkolnej mówił p. Król, w imieniu Nar. Organizacji kobiet p. Puzynianka, zabierali głos przedstawiciele: „Koła Polek“ Związku nauczycieli szkół ludowych, Centralnego Związku młodzieży wiejskiej i t. d. i t. d. Odczytano szereg listów gratulacyjnych, depesz, między innymi od Władysława Mickiewicza, i Józefa Piłsudskiego. Najbardziej wzruszającym momentem jednak było przemówienie staro przyjaciele p. Umińskiej p. Wójcika, jednego z pierwszych włościan, którzy idąc za głosem jej, oddali wszystkie służby swoje uciśnionej ojczyźnie.

Podczas przemówienia tego łzy ukazały się w oczach jubilatki, a gdy chłop polski ukląkł u jej nóg i całował wychudłe dłonie, łzy potoczyły się gradem po jasnym i pogodnym obliczu staruszki.

Pełnem entuzjazmu było przemówienie p. Karłowskiej, jednej z „wychowanek“ p. Umińskiej, gorliwej ongi działaczki w Mińsku Litewskim,

Wierszem mówiła p. Bogna... córka włościanina z Łowickiego ze wsi Domaniewice, studentki uniwersytetu warszawskiego, która idąc w myśl wskazań swej kierowniczkii duchowej, zamierza po

ukończeniu studjów wrócić na wieś, by rozpoczętą przez p. Umińską pracę, prowadzić dalej, stworzyć muzeum ludowe w domu, który ojciec jej buduje, a który ma być jednocześnie domem ludowym dla całej okolicy.

Adres z licznymi podpisami przyjaciół i wielbicieli doręczono Jubilatce.

Z ŻYCIA STOWARZYSZEŃ

UCHWAŁY ZJAZDU ZIEMIANEK

Na walnem półrocznym zebraniu, zwołanem w dniach 9 i 10 gr. Zjednoczone Ziemiarki powzięły uchwały, które podajemy w streszczeniu:

1). Walne Zgromadzenie zaleca Stowarzyszonym udział w Adoracji Najświętszego Sakramentu w kościełku Dzieciątka Jezus w Warszawie, celem ubłagania u Boga nadprzyrodzonych łask i błogosławieństw dla Polski.

2). Zgromadzenie Walne przyrzeka zająć się najgorliwiej zbieraniem składek na zakupno Berła dla Matki Boskiej, Królowej Korony Polskiej, jako symbolu oddania rządów kraju pod Jej przemożną i najświętszą opiekę.

3). Zjazd wzywa wyzyskanie Ziemiarki, by zaopatrzyły się we flagi narodowe i dążyły do rozpowszechnienia tej uchwały wśród ziemian, proboszczów, okolicznych wsi, Dozorów szkolnych i Rad gminnych.

4). Zjazd stwierdza potrzebę wytworzenia twórczego typu kobiety współczesnej, która wnosić będzie w życie poczucie praworządności, miłości bliźniego, sprawiedliwości, moralności i jedności narodowej.

5). Zgromadzenie walne wzywa społeczeństwo do poszanowania dla pracy zawodowej i kierowania zdolnych, dzielnych jedno-

stek do szół zawodowych.

6). Uznając konieczność reformowania dotychczasowego wychowania i wykształcenia młodzieży żeńskiej, Zjazd zaleca Wydziałowi wychowawczemu zapoznanie się z projektem posła Sołtyka.

7). Zjazd wyraża swoją solidarność z uchwałami powziętymi w Paryżu przez Zjazd Międzynarodowej Konferencji Wytwórczości.

8). Walne zebranie zaleca poparcie usiłowań tworzącego się Komitetu obrony moralności, a także Tow. Ochr. Kobiet i Komitetu zwalczania handlu żywym towarem.

9). Walne zebranie rozpatrzywszy zagadnienie reformy gospodarstwa domowego doszło do przekonania, że należy ulepszenia oprzeć na metodach naukowej organizacji pracy.

Sekcja Samokształcenia wychowawczego przystąpiła do zorganizowania Konkursów wiedzy wychowawczej.

KURS CZEPNICTWA

Tow. Ochrony Kobiet, którego ruchliwość od pewnego czasu znacznie wzrosła, powzięło myśl założenia przy szwalni na ul. Ludnej 11 kursu czepnictwa oraz pracowni czapek. Na kurs zapisywać się można zaraz. Obecnie wakuje jeszcze kilka miejsc.

Kursy czepnictwa odbywają się w dzień; wieczorem — kursy szycia i haftu.

Zwracamy na ten kurs uwagę zredukowanych urzędniczek. Nauczyć się można tego rzemiosła bardzo łatwo. O robotę nie trudno.

Pracownia Tow. Ochr. Kobiet dostała już obstalunki.

CHOINKA DLA NAJUBOŻSZEJ DZIATWY WARSZAWY

Wydział Kobietcy P. P. S. i Towarzystwo Klubów Kobiet Pracujących łącznie z Wydziałem Opieki nad dzieckiem robotniczym urzą-

dziły z inicjatywy p. s. lanki, Zofji Prussowej choinkę dla najuboższej dziatwy Warszawy. Choinki urządzono w dwunastu miejscach: na Czerniakowskiej, Bagateli, w Alejach Jerozolimskich, Chłodnej, Wolskiej, Okopowej, na Marymoncie, Lesznie, Nowem Brudnie, Brukowej (na Pradze) i Grzybowskiej.

Na program zabaw składały się śpiewy lub muzyka, przy pięknie ubranem drzewku, produkcje artystyczne, bajki ilustrowane przezroczkami i t. p.

Największą jednak atrakcją stanowiło rozdanie wszystkim dzieciom torebek, napełnionych słodyczkami i owocami.

Podarunków, zebranych dla dzieci, ze względów pedagogicznych nie oddawano im samym. Wręczano je rodzicom według wskazówek organizacji, do których należeli, związków zawodowych, klubów i t. p.

Wstęp dla dzieci był zupełnie bezpłatny. Funduszy dostarczały przeważnie Związki Zawodowe i kwesty, inicjowane przez Komitet Gwiazdkowy. Obdarowano około 3 tysięcy dzieci.

W SPRAWIE POLICJI KOBIECEJ

Dowiadujemy się, że sprawa policji kobiecej w Warszawie jest na najlepszej drodze.

Kredyty państwowe na cel powyższy zostały już podobno przyznane i niezadługo rozpocznie się organizacja.

Pierszeństwo będą miały jakoby byłe legionistki, jako wyćwiczone wojskowo. Muszą jednak przedstawić polecenia swojej dawnej zwierzchności wojskowej.

Brygada policjantek warszawskich składać się ma podobno z 50 osób.

Z ŻYCIA PROWINCJI

NAŁĘCZÓW w grudniu

Dnia 15 b. m. odbył się doroczny egzamin uczenic Szkoły Gospodarstwa dla dziewcząt wiejskich w Nałęczowie, założonej przed 12 laty przez Koło miejscowe ziemianek. W roku bieżącym stanęło do popisu 23 dziewczęta, z rozmaitych okolic kraju. Przez czas swojej egzystencji Szkoła wychowała ich więcej niż 300.

LWÓW w grudniu

Na posiedzeniu Rady Miejskiej P. Aleksandrowiczówna domagała się, aby już obecnie przenieść

z budżetu nadzwyczajnego do budżetu zwyczajnego kwotę 200.000 zł. na cele budowy nowej szkoły powszechnej na Wólce. Następnie domagała się uporządkowania szkół już istniejących i stworzenia młodzieży możliwie higienicznych warunków w szkole.

PULAWY w styczniu

Trzymiesięczny Kurs praktyczny gospodarstwa wiejskiego dla pańien, zorganizowany staraniem Koła Młodych Ziemianek rozpocznie się w Puławach 7 marca 1925 r. Kurs obejmować będzie 4 działy: 1) ogrodniczy, 2) hodowli drobiu, 3) kulinarny, 4) społeczny.—Opłata wycieczki będzie 150 zł. miesięcznie, 50 zł. wpisowego. Zapisy przyjmuje i informacji udziela do 1 lutego 1925 r. Sekretarjat Koła Młodych Ziemianek we wtorki, czwartki i soboty od 12—2 po poł. Warszawa, Marszałkowska 149, Świeżolica Ziemianek.

CO PISZE PRASA

W Krakowskim „Kurjerze Ilustrowanym“ № 5 spotykamy dłuższy artykuł, poświęcony obozowi wykszolenia wojskowego kobiet.

Artykuł zatytułowany jest „Obóz kobiecy w górach“.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE

FRANCJA.

D o m y m a t e k: Minister Pracy, Justin Godart, przedstawił Izbie projekt ustawy, obowiązujący każdy departament Francji do założenia jednego przynajmniej schroniska dla kobiet na czas ciąży i porodu. Każda pacjentka musi być przyjmowana bez żadnych formalności.

INDJE.

Równouprawnienie kobiet, Rada Ustawodawcza indyjskiej prowincji Assam uchwaliła prawo, udzielające kobietom praw obywatelskich na równi z mężczyznami. Prawodawcy wychodzili z założenia, że ponieważ znaczny procent ludności robotniczej, (szczególnie zatrudnionej w plantacjach i fabrykach herbaty) stanowią kobiety, należy im przeto przyznać prawo głosu, aby mogły bronić swych interesów w przedstawicielstwie narodowym.

Jednocześnie Rada Ustawodawcza uchwaliła złożyć rządowi an-

gielskiemu memoriał, żądający zniesienia ustawy, wzbraniającej kobietom dostępu do wyższych stanowisk.

Prowincja Assam jest piątym z kolei państwem w Indjach angielskich, które wprowadza u siebie równouprawnienie kobiet.

ST. ZJEDNOCZONE AMERYKI.

Amerykańskie Biuro Informacji Zawodowej ogłasza następujące cyfry statystyczne, wykazujące udział kobiet w poszczególnych zawodach:

Rolniczek (farmerek) posiadają St. Zjednoczone przeszło 1.000.000 z tych mniej więcej 20% prowadzi samodzielnie gospodarstwa rolne albo pracuje w innych gałęziach gospodarstwa przemysłowego, obliczonego na dochód (ogrodnictwo, pszczelnictwo, warzywnictwo, hodowla drobiu etc.)

Kobiet, pracujących jako urzędniczki biurowe, zarejestrowanych jest przeszło 2.000.000, z tych zaledwie 2% zajmuje stanowiska kierownicze!

Interesującym jest spostrzeżenie, że w przeciągu tych kilku lat zmniejszyła się znacznie ilość kobiet, poświęcających się zawodowo muzyce. Natomiast zwiększyła się liczba mężczyzn — muzyków, przede wszystkim nauczycieli muzyki, w szkołach państwowych. Z drugiej znów strony, statystyka wykazuje znaczny przyływ kobiet do zespołów orkiestrowych, oraz zwiększenie się liczby kompozytorek-muzyczek.

Zainteresowanie kobiet naukami technicznymi wzrasta powoli, lecz stale. W 1910 r. kobiet-inżynierów było w Ameryce 10; w 1920 r. było ich już 41, nie licząc 1985 kobiet-technikerek z niższem wykształceniem.

Największą jednak ilość pracowników wykazuje zawód księgarski; 88% wszystkich księgarzy w St. Zjednoczonych stanowią kobiety!

NA SZPALTACH PRASY

„Kurjer Polski“ № 10 zamieszcza w dziale „Świat Kobiety“ — który tym razem nosi całkiem inny charakter, niż dotychczas, artykuł p. C. Walewskiej p. t. „Organizacje polityczne kobiet“ oraz pani J. W. Kosmowskiej „Budzące się dusze“. W tym ostatnim omawia autorka sprawę zdobywania oświaty i kultury przez wiejską młodzież kobiecą i zwraca uwagę na cały ten niezmiernie doniosły ruch.